



Przemýtník



TOM **01**



MIROSLAV

ZAMBOCH

JIRI W.

PROCHÁZKA

MIROSLAV ZAMBOCH
Agent JFK 01 Przemysłnik

**JIRI W. PROCHÁZKA
PRZEŁOŻYŁ**



Przemysł

TOM 01

**Andrzej Kossakowski
ILUSTRACJE
Dominik Broniek**

TYTUŁ ORYGINAŁU *Agent John Francis Kovař. Pařerák*

Dzień pod psem

–Cofnąć się! Cofnąć się! – Umundurowany policjant rozganiał tłum ciekawskich, unosząc czarno-żółtą taśmę, aby umożliwić dwóm sanitariuszom wejście na miejsce zdarzenia.

Rozgrzany płaszcz i hełm promieniowały żarem, a pot szczypał go w oczy. Po kilku haustach duszącego dymu musiał zwalczyć odruch wymiotny. Poprzez złotawy blask wypatrywał lekarza, aż w końcu dostrzegł go obok noszowych i ruszył prosto ku nim. W rękach trzymał zawiniątko przykryte ognioodporną płachtą. Dochodzący z tyłu złowieszczy huk pożaru zmieszał się z gwarem ciżby.

–John! Kova! – słyszał swoje nazwisko jakby ze wszystkich stron, lecz nie odzywał się, tylko uporczywie zdązał do celu.

–Powiedziałem, że nie wolno nikomu wchodzić do środka! Przez pana nie można było rozwalić tej rudery i zaczyna się teraz palić następny dom! – Vratislav Klusak, szef oddziału do likwidowania skutków katastrof przemysłowych, szczególnym trafem zjawił się jednak na miejscu. Pod błyszczącym płaszczem przeciwwiarowym miał skrojoną na miarę dwurzędówkę, na wypomadowanych włosach oficerski hełm. Przed taśmą tłoczyli się reporterzy stacji telewizyjnych i gorączkowo nagrywali całą scenę. Kova przystanął na chwilę.

Nawdychał się za dużo dymu, kręciło mu się w głowie i czuł wyskakujące na twarzy bąble. Operator i reporter największej stacji telewizyjnej przedarli się przez kordon policjantów. Klusak w okamgnieniu sprężył się jeszcze bardziej i przybrał postawę najważniejszego człowieka na świecie. Zbliżały się przecież wybory.

–Czy postawa pańskich ludzi jest bez zarzutu? Wasza „formacja” to cierń w oku armii i policji – Kova usłyszał pytanie reportera.

–Oczywiście pracują dla nas sami najlepsi ludzie, z wyjątkiem pewnych jednostek, których mamy zamiar się pozbyć.

John Frantiek Kova zauważył, jak Klusak zerknął na niego z ukosa dokładnie w chwili, gdy kamera złapała go w kadrze. Po ostatniej akcji, po której opuścił służbę w jednostce, jego twarz stała się znana, a to drażniło Klusaka. Szef miał teraz okazję, by go zdyskredytować, i wyraźnie mu na tym zależało.

–Doktorze! – zawołał Kova chrapliwie i lekko uniósł zawiniątko trzymane w rękach. Wreszcie wrócił mu głos.

–Co pan może o tym powiedzieć, kapitanie Kova? – zwrócił się do niego Klusak.

–A idź pan do dupy, szefie.

Klusak zbladł, operator szybko filmował na przemian jednego i drugiego.

–Wyleciałeś pan! A za spowodowane szkody nieprofesjonalnym zachowaniem odpowiesz pan przed sądem! – wściekał się Klusak, a jego twarz przybrała barwę pożaru.

John Kova skinął tylko głową i równym krokiem ruszył w kierunku sanitariuszy, którzy nadbiegali od strony karettek.

–Słyszysz pan, wyleciałeś! – ryczał szef oddziału do likwidowania skutków katastrof przemysłowych, podchodząc bliżej i kładąc mu rękę na ramieniu.

Płaszcz był nadal gorący, ale Klusak nie zdążył tego poczuć, bo uderzenie prosto w nos posłało go bez przytomności na ziemię. Zabłyśły flesze aparatów fotograficznych, tłum zaszemrał.

Sanitariusze z noszami zatrzymali się niezdecydowanie przed nieruchomym ciałem. Kova położył zawiniątko na noszach i odkrył płachtę. Wyłonił się spod niej zaledwie pięcioletni chłopiec z buzią zakrytą maską tlenową.

–To by było na tyle – skomentował spokojnie agent.

–Proszę za mną, opatrzę pana – zaproponował jeden z sanitariuszy.

–Chyba nie ma potrzeby, sam pan słyszał, że wyleciałem. – Skinął głową i skierował się ku samochodom.

John F. Kova zaparkował obtłuczonego rovera na miejscu, gdzie zazwyczaj stawiała swoją czerwoną skodę Linda. Bateria komórki padła, zdążył jedynie wysłać SMS-a, że dotrze do domu trochę później.

Zabrał z pracy wszystkie rzeczy, żeby nie musieć tam potem wracać. Wsiadł i odetchnął głęboko. Był środek maja, a intensywny ruch drogowy w Pradze nie zdołał przytłumić wiosny w pełnym rozkwicie.

Kobieta w mini i obcisłym sweterku rzuciła mu krótkie spojrzenie, przechodząc obok. W tej właśnie chwili poczuł lekkie drgnienie gdzieś w piersi, które przypomniało mu, że jest żywy, cholernie żywy. Zwłaszcza po akcji uczucie to stawało się szczególnie intensywne.

Przez chwilę przyglądał się dziewczynie. Rajstopy we wzorki uwydatniały linie łydek i ud, materiał sukienki opinał jędrny tyłeczek. Potem zwrócił uwagę na ciemnoniebieskie auto parkujące po drugiej stronie ulicy, tuż pod zakazem zatrzymywania. Nadal udawał, że patrzy na oddalającą się kobietę, lecz kątem oka obserwował samochód. Przypominał dostawczaka skrzyżowanego z ferrari. Ścięty przód, matowe szyby, specjalny zderzak i bardzo szerokie opony wskazywały

wyraźnie, że to robota na zamówienie. Bogacze miewają różne hobby, ale to auto nie wyglądało na cacuszko wariata, który radośnie pędzi trzytonowym kolosem z szybkością dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Sądząc po obtarciach karoserii, wgnieceniach blachy i obtłuczonym zderzaku, maszyna wyglądała raczej jak stary wyrobnik, któremu niczego nie oszczędzano.

Kova zwracał uwagę na wszystko dokoła. Taki już miał nawyk.

Zakończył obserwację i wszedł do domu. Cieszył się. Ciszą i spokojem, pogodą, tym, że zaraz zobaczy Lindę. Wbiegł na trzecie piętro, otworzył drzwi zabezpieczone przez specjalnie dobrany, wyjątkowo bezpieczny zamek, którym mógłby się pochwalić niejeden bank, i natychmiast dostrzegł dwie duże torby ustawione w samym

środku przedpokoju. Na jednej z nich leżała kartka:

Widziałam cię w telewizji. Obiecałeś mi przecież, że będziesz normalnym facetem, znajdziesz sobie jakieś zwykłe zajęcie, ale już ci nie wierzę. Nadal ryzykujesz, a kiedy coś ci się nie podoba, walisz po prostu pięściami kogo popadnie i co się tylko nawinie. Kochałam cię, ale nie potrafię żyć w ciągłym strachu, że coś ci się stanie, i martwić się, co znowu wywiniesz. Nie umiem wyobrazić sobie, że moglibyśmy mieć razem dzieci. Twoje rzeczy są spakowane, chyba zebrałam wszystkie. Klucz wrzucić do skrzynki na listy. Przykro mi, naprawdę, ale nie potrafię inaczej. Pojechałam do rodziców. Cześć, życzę ci dużo szczęścia.

John Kova przeczytał wiadomość jeszcze raz i długimi krokami ruszył do kuchni. Wyjął piwo z lodówki i wyszedł na klatkę schodową. To już nie był jego dom. Siedząc na schodach, pociągał powolne łyki i rozmyślał.

Nagle naszła go chęć na papierosa, choć ostatniego trzymał w ustach dobre dziesięć lat temu.

Odezwała się komórka. Z niedowierzaniem sięgnął do kieszeni i wyciągnął poobijany aparat. Na wyświetlaczu widniał nieznany numer. Zdziwił się, bo bateria powinna być wyczerpana.

–Kova – powiedział.

–John Kova? – usłyszał w słuchawce. – John Francis Kova? Mówiła kobieta.

Miała aksamitny, raczej niski głos, ale z tych –

tego był pewien – które potrafią brzmieć bardzo szorstko.

–Tak – potwierdził. – Z kim rozmawiam?

–Lepiej spotkajmy się osobiście. Czekamy w samochodzie przed pańskim domem.

Mamy dla pana interesującą ofertę.

John Kova po raz ostatni przyjrzał się otwartym drzwiom mieszkania, które przez jakiś czas uważał za swój dom, a później zdecydowanie je zatrzaskał. Jasne było, że mężczyźni tacy jak on nie są stworzonymi domatorami.

–Zaraz będę na dole – powiedział i się rozłączył.

W tym momencie wyświetlacz telefonu zgasł. Kova wzruszył ramionami, przekręcił klucz w zamku, a potem, dokładnie według życzenia Lindy, wrzucił go do odrapanej skrzynki pocztowej na parterze.

Wyszedł przed budynek i spojrzął na niebieski samochód.

O maskę opierała się kobieta w obcisłych spodniach i męskiej koszuli związanej na wysokości talii w węzeł. Podciągnięty materiał odsłaniał kawałek biodra i brzucha.

Nosiła płaskie buty do kostek. Ręką bez pierścionków, ale z pomalowanymi na czerwono paznokciami, przytrzymała drzwi. Rozpięta u góry koszula odsłaniała kawałek zagłębienia między piersiami.

Nieznajoma wyglądała na nieco ponad trzydzieści lat, lecz sądząc z pozornie obojętnego, choć jednocześnie taksującego spojrzenia, jakim obdarzyła Kovaa, mogła mieć spokojnie i sto.

Kocica, wściekle niebezpieczna kocica, która ma świadomość zarówno swej prezencji, jak i możliwości, ocenił ją.

Przeszedł przez ulicę i zatrzymał się obok auta. Nic nie widział przez przednią szybę, ale mógłby się założyć, że w samochodzie siedzi towarzysz kobiety.

–Telefonowała pani do mnie przed chwilą.

–Pan jest John Francis Kova? – zapytała.

–Zgadza się – przytaknął.

–O czym pan myśli? – zagadnęła bez związku.

–O tym, że jeśli nie sprawi pani sobie naprawdę porządnego stanika, może mieć pani problemy przy niektórych prostych ćwiczeniach gimnastycznych – odrzekł spokojnie.

Na chwilę zwęziła oczy, ale w końcu wykrzywiła usta w uśmiechu.

–Człowiek nie powinien stawiać pytań, na które nie chce usłyszeć odpowiedzi – przyznała mu punkt.

Usta miała w typie południowoamerykańskim, pełne nawet bez podkreślenia konturówką.

Mieszanka tego, co najlepsze z południa i północy, stwierdził Kova.

–Co z ofertą? – rzucił.

–Przedstawimy ją w samochodzie. Ma charakter prywatny i poufny, a w kabinie nikt nas nie podsłucha – odparła i otworzyła drzwi szerzej.

Kova wiedział, że wewnątrz ktoś czeka, i wcale mu się to nie podobało. Sytuacja nie przedstawiała się korzystnie. Nie przypuszczał jednak, aby po tylu latach służby ktoś próbował go zrobić w tak dziwaczny sposób.

–Boi się pan? – spytała szyderczo nieznajoma.

–Jestem ostrożny – odpowiedział i wszedł do środka. Wewnątrz było mniej miejsca, niż się spodziewał, bo zgodnie z jego przewidywaniami ktoś już tam był. Wielki Murzyn z ogoloną głową i taką masą mięśniową, że wystarczyłoby na obdarowanie dwóch normalnych mężczyzn. Obserwował Kovaa zagłębiony w fotelu kierowcy, nietypowo zwróconym odwrotnie do kierunku jazdy. Kobieta wsunęła się na siedzenie obok i również odwróciła fotel. Kova usiadł, ręce położył na kolanach i spokojnie się rozejrzał.

Samochód był naszpikowany elektroniką, ale nie tylko to zwróciło jego uwagę. W otwartej szufladzie spostrzegł niewyraźny zarys czegoś, co musiało być bronią. Bronią, na którą cywile nie otrzymaliby pozwolenia. W tylnej części wozu

przymocowano wymienne opony z kolcami. Kolejna rzecz niezgodna z przepisami, za to na lodzie nadzwyczaj pożyteczna.

–John Kova, były członek formacji do likwidowania skutków

katastrof przemysłowych, przedtem kapitan specjalnej jednostki działającej w składzie oddziału szybkiego reagowania – Murzyn recytował monotannie, choć z pewną pobłażliwością w głosie. Kova szybko stwierdził, że nie przypadną sobie do gustu.

–Misje w Iraku, Gwatemali, Izraelu i Paryżu.

Ostatnia informacja go zaskoczyła. Paryska misja była

koordynowana przez Ośrodek Centralny NATO, nikt w Republice Czeskiej nie powinien się nawet domyślać, że miała miejsce. Była to najbardziej niezwykła akcja, w jakiej kiedykolwiek uczestniczył.

–Taa, to wszystko prawda. A pan kim jest, jak pan się nazywa?

–Na razie nic panu do tego – zbył go Murzyn. Kova skinął głową.

–Dobrze, do pana będę mówił „panie Czarny”, a do tej pani... -Spojrzał na kobietę.

–Monika. Monika chyba wystarczy? – odpowiedziała szybko.

–Pewnie, Monika. Całkiem fajnie. No więc, panie Czarny, albo mi pan powie, kim pan jest, dla kogo pracuje i czego ode mnie chcecie, albo wysiadam i możecie sobie straszyć kogo innego.

Murzyn gładko przełknął tyradę; nie drgnął mu żaden mięsień, tylko w oczach pojawiło się nieco więcej zimnego blasku.

–Mówiłam, Franku, że nie jesteś najodpowiedniejszym typem do werbowania takich ludzi jak John F. Kova – przejęła inicjatywę Monika.

–Taa, dwie dziewczyny zadziałałyby jeszcze lepiej – odparł Kova.

–W chwili obecnej nie ma pan żadnych krewnych, powinności obywatelskich ani obowiązków. W piętnastu procentach przypadków tuż po rozstaniu kontaktował się pan ze swoją przyjaciółką. Do ostatniej dzwonił pan dziesięć minut temu. Zamierza pan się do niej jeszcze odezwać? – zapytał Frank. Kova nie mógł odmówić mu profesjonalizmu.

Przełknął swoją złość.

–W piętnastu procentach przypadków? Nie mam pojęcia, o co wam chodzi. Ale nie, nie zamierzam się z nią kontaktować. Podjęła decyzję.

–Zrozumie pan, o ile przyjmie pan pracę, którą oferujemy -odpowiedziała Monika zamiast Franka. – Pracę dla agencji EF -Equilibrii Ferrar...

John Kova zauważył, że na skomplikowanej tablicy rozdzielczej, bardziej przypominającej kokpit myśliwca niż sprzęt dla kierowcy, zapaliła się nagle czerwona lampka i równocześnie odezwał sygnał dźwiękowy.

Frank i Monika poderwali się.

–Sterowany tunel jednokierunkowy, wycelowany prosto w nas! – wrzasnęła.

Oboje równocześnie przypięli się do siedzeń i obrócili ku przrządóm. Kova nie rozumiał, o co chodzi, ale nikt nie musiał przypominać mu o pasach. Przyspieszenie wtłoczyło go w fotel, miał wrażenie, że jego ciało przylepiło się do siedzenia.

–Trzy skrzyżowania i jesteśmy na wylotówce! – krzyczała Monika.

Kova zauważył, że Frank żyłuje silnik aż do kresu jego możliwości. Czyli piekielnie mocno. Kątem oka dostrzegł wskazania szybkościomierza. Dwieście dwadzieścia, czterdzieści, sześćdziesiąt. Jeśli nie trafią na zielone światło, zostanie z nich wszystkich tłusta plama i kilka zwęglonych ciał. Przed przednią szybą mignęło porsche, Frank objechał je zręcznym manewrem, nadal przyspieszając. Trzysta.

–Te bękarty wciąż się nas trzymają! Ustawili niesynchronizowaną bramkę prosto na nas! – Monika musiała krzyzczeć, żeby usłyszeli jej głos poprzez wycie silnika. Równocześnie jednak gorączkowo stuknęła w wysuwaną klawiaturę umieszczoną pod deską rozdzielczą, a w jej głosie nie było śladu paniki.

–Skoro tak, nie pozostaje nic innego, jak zdrowo depnąć – odparł Frank spokojnie, jakby dotąd tylko pieścił pedał gazu.

Kova go nie usłyszał, ale w panoramicznym lusterku połączonym z zapisem kamery szybko zobaczył, co się dzieje. W pędzie wyprzedzili policyjną skodę, która zdążyła tylko zapalić koguty i zniknęła daleko w tyle.

Czterysta.

–Szybciej, do cholery, szybciej! – ponaglała Monika. – Trzymają nas, te świny nadal nas trzymają, a ja nic nie mogę z tym zrobić!

Powietrze za oknem przybrało złotawą barwę, Kova miał uczucie, że otacza go pęcherz lepkiego ognia. Może nie było to tylko wrażenie, bo jednocześnie w oczy palił go pot.

–Trzy sekundy do naprowadzenia! Już nas mają! – Frank wyrwał z tablicy jakieś zabezpieczenie. Kovaowi pociemniało w oczach, ostatnia wartość szybkościomierza, jaką zdołał zauważyć, musiała być halucynacją. Przecież żadne auto nie jeździ po autostradzie z prędkością sześciuset trzydziestu kilometrów na godzinę. A może jednak?

Fotel stanął dęba i wepchnął mu kręgosłup między serce i płuca; wrażenie było takie, jakby go ktoś porządnie skopał. Na zewnątrz złoto zmieniło się w olśniewającą biel. Potem ciężenie ustało. Widział krople krwi z nosa i ust szybujące przed nim w powietrzu, ktoś ściszył do minimum hałas.

–Całkiem niezłe przyspieszenie – usłyszał swój głos. – Czy ten wózek ma dobre poduszki powietrzne?

–To porządna fura – odrzekł Frank. – Jeśli to przeżyjemy, masz u mnie piwo.

Wtedy nastąpiło pierwsze uderzenie. Jedno z wielu, a każde kolejne nie było słabsze od poprzedniego. Jakby bez końca przebijali serię elastycznych błon.

–Wyrzucam kotwicę awaryjną! – powiedziała zwięźle Monika.

Kova nie pojmował, jak przy takich wstrząsach kobieta jest w stanie mówić.

–Jeszcze nie osiągnęliśmy poziomu krytycznego! – usiłował powstrzymać ją Frank.

–A więc kiedy, jeśli nie teraz?

Kova nie wiedział, co zrobiła, ale biel przeszła w złoto, a potem

znów za oknem zamigotała rzeczywistość. Przy pierwszym kontakcie

podwozia z ziemią przygryzł sobie język. Przy następnym cały samochód pochylił

się w lewo i zaczął się przewracać. Bok karoserii pogiął się, gdy auto zaszorowało o podłoże. W tym samym momencie wewnątrz wypełniło się szybko krzepnącą pianą.

–Poduszki powietrzne – dotarło do Kovaa, zanim przeciążenie pozbawiło go przytomności.

Z DESZCZU POD RYNNĘ

Ocknął się nagle, gdy piana zaczęła sublimować i jej nacisk osłabł. Czuł, jakby pasy bezpieczeństwa wryły mu się głęboko do płuc i sprasowały klatkę piersiową na placek. Swoje zadanie jednak, jak widać, spełniły.

–Przeżyliśmy – stwierdziła z pewnym zaskoczeniem Monika.

Tkwiała przypięta do siedzenia w karkołomnej pozycji, długie czarne włosy zwisały w nieładzie i zakrywały część twarzy. Przytrzymująca je zapinka nie wytrzymała gwałtownego hamowania i wylądowała nie wiadomo gdzie.

–Jak na razie – odrzekł chmurnie Frank.

Jednym ruchem odpiął pas i jak czarna pantera opadł na bok

kabiny. Czoło przecinała mu płytka rana, krew krzepła już w pomarszczony strup. Choć był wielki i ciężki, potrafił poruszać się ze sprężystością, jakiej Kova nie podejrzewałby u tak potężnego mężczyzny. Poszedł za jego przykładem i równocześnie z Moniką pozbył się pasów.

Przez chwilę wszyscy troje czekali w pełnej napięcia ciszy. Odgłos regularnego kapania mógł równie dobrze oznaczać wyciek płynu hamulcowego, jak i paliwa sączącego się z baku. Mieszał się teraz z narastającym rykiem silników. Najprawdopodobniej dużych.

Tak grały stare ciężarówki, takie z dwunastoma niskoprężnymi cylindrami. Kova znał ten dźwięk, nauczył się go rozpoznawać w Azji, gdzie na przestarzałych, ale piekielnie wytrzymałych maszynach wyjeżdżały z dżungli oddziały rebeliantów.

–Gdzie jesteśmy? – zapytał.

Był pewny, że już dawno opuścili Pragę, choć sposób, w jaki to zrobili, stanowił dla niego zagadkę. Nikt nie zwrócił uwagi na pytanie.

–Taa, są przygotowani, chcą nas za wszelką cenę zabić –

powiedziała Monika. Szybkim ruchem zaplotła włosy w warkocz, z trudem sięgnęła do jednej z bocznych skrzynek auta, teraz ze względu na jego pozycję znajdującą się nad nimi, mocno pociągnęła za uchwyt i wyjęła ze środka broń umieszczoną w specjalnie zaprojektowanym łożu. Na pierwszy rzut oka strzelba przypomniała Kovaowi model Benelli z miotaczem granatów i dodatkową lufą do nabojów śrutowych.

Frank otworzył większy schowek i wyciągnął monstrualnego gnata, który wyglądał jak lekko zminiaturyzowany dwulufowy zestaw przeciwlotniczy. Hałas silników wzmógł się, a równocześnie dołączył do nich charakterystyczny dźwięk. Brzmiał jak terkot lekkiego działka, dwudziestki. Ziemia zatrzęsała się i w tej samej chwili seria zabębniła o podwozie samochodu. Pogłos był taki, jakby znajdowali się wewnątrz gigantofonu.

–Coś dla mnie? – wrzasnął Kova, aby go usłyszeli.

–Amatorom zabawek do rąk się nie daje! – krzyknął Frank, wykopując drzwi kabiny. Monika wyrzuciła granat dymny i kryjąc się

w powstałej chmurze, wyskoczyli na zewnątrz. Kova niezwłocznie podążył za nimi. Nisko nad jego głową zagwizdała seria, więc przypadł do ziemi, znalazł kryjówkę za

wybrzuszeniem terenu i dopiero wtedy zaczął się ostrożnie rozglądać.

Znajdowali się na łagodnej pochyłości. Na dole, pod nimi, biegła zniszczona droga. Właśnie zjeżdżały z niej ostatnie opancerzone wozy i zmierzały w ich kierunku po łące. Pierwsze trzy były nie dalej jak dwieście metrów od ich stanowiska. Nie mógł dostrzec, ile jeszcze podąża za tą trójką, ponieważ skrywała je wypukłość stoku. Obrotowa lufa pluła ogniem, strzelec celował w ich samochód, a inni strzelali wokoło. W powietrzu wirował pył z rozpryskującej się gliny i kamyków, w uszy wgryzał się metaliczny szczęk trafianego raz po raz auta. Kova, nadal przyklepiony do ziemi, zaryzykował krótki rzut okiem w tył. Bruzda, którą wryli podczas wypadku, zaczynała się głębokim podłużnym kraterem i ciągnęła przez około pół kilometra.

Do łoskotu dwudziestomilimetrowych działek dołączył naraz inny dźwięk, szybszy, ostrzejszy, bardziej śmiercionośny. Frank przykleknął za karłowatym drzewem i otworzył ogień. Drgał cały w rytm wystrzałów, ale jakimś cudem utrzymywał broń w dłoniach. Pierwszy wóz stanął, ostrzał przemienił przedni pancerz w prawdziwy serementalski, drugi pojazd eksplodował, ledwie Frank przeniósł na niego ogień, zaś z trzeciego zaczęli się wysypywać piechurzy.

Krzak zniknął, zmieciony wybuchem, a w jego miejscu został tylko postrzępiony krater. Napastnicy nie dostali jednak Franka, zdążył zauważyć Kova. Nie było go tam, gdy padł strzał.

Kompania żołnierzy w mundurach w leśnym kamuflażu posuwała się skokami naprzód. Nie byli amatorami, to musiał przyznać. Kryli się jak doświadczeni komandosi, choć i tak zaskoczył ich nagły ogień z nieosłoniętej flanki. W gwałtowny, dudniący pomruk wozów wdarł się nagle podwójny huk granatów eksplodujących tuż nad ziemią. Do akcji wkroczyła Monika, zrozumiał Kova.

Pierwsza fala napastników została rozproszona.

Jednakże za nimi już pędziła druga, pięć gąsienicowych wozów opancerzonych i pewnie ze trzystu chłopów. Powietrze zgęstniało od wybuchów. Kova domyślił się, że napastnicy walą z moździerza. Jakimś przeklętym sposobem wpakowali się chyba w środek wojny. Tylko że wozy pancerne waliły prosto na nich, wokół nie było innych wrogów, a to musiało oznaczać, że celem tej małej armii są Frank i Monika.

Zabójcza dwulufowa broń zagrzmiała, kolejny pojazd stanął w płomieniach, co nie zatrzymało żołnierzy, lecz tylko lekko spowolniło ich marsz. Zapora ogniowa przycisnęła ich do ziemi. Monika zawracała w stronę auta, strzelając w biegu.

–Jest ich mnóstwo! Musimy się ukryć! – krzyknęła.

Jedyna droga wiodła w górę, a tam teren był nieco bardziej urozmaicony. Mogliby się na chwilę przyczaić między drzewami i wielkimi, bezładnie rozrzuconymi gałkami. Kłopot w tym, że musieliby pokonać szerokie pasmo równej, nieosłoniętej łąki. A transportery miałyby ich wtedy przez cały czas jak na widelcu. Kova

jednym rzutem oka fachowo ocenił sytuację.

Znienacka, gdzieś spośród długiej, nieskoszonej trawy, którą rozjeżdżały gąsienice nacierających maszyn, wyłonił się Frank i z bliska, niemal z przyłożenia rozwalił trzy transportery pod rząd, przerabiając je na parujący złom. Kova widział wyraźnie, jak poszczególne pociski przebijały pancerze wozów.

Następnie Frank odrzucił broń i popędził pod górę, ku towarzyszom. Monika kryła go ogniem i nie pozwalała żołnierzom oderwać twarzy od ziemi. Kova szybko pojął, że akcja kosztowała ją resztę amunicji.

–Musimy teraz odskoczyć albo nas dopadną – wyrzucił z siebie zdyszany Frank, gdy już do nich dotarł.

Razem w okamgnieniu zerwali się i pognali w górę stoku, aby wykorzystać chwilę, którą podarował im Murzyn dzięki swemu ryzykownemu wyczynowi. Kryli się w kłębach dymu buchającego z płonących maszyn. Gdy dotarli do pierwszych głazów, huk motorów nasilił się, a ziemię wokół rozorała dzika strzelanina.

–A co... co z nim? Jak go te... teraz przejmujemy? – wyrzuciła z siebie Monika urywanym głosem. Dysząc, wskazała na Kovaa.

–Nie jest zatrudniony, to nie ma retranslatora. – Frank wzruszył ramionami.

Ogień dosięgnął już głazu, za którym się schowali, i wszędzie rozpryskiwały się odłamki granitu. Kova poczuł krew ciekącą z poranionej twarzy. Monika posępnie spoglądała na towarzysza. Kovaa nie interesowała ich niejasna rozmowa, przypatrywał się

trasie, którą mieli pokonać, aby umknąć z zasięgu ognia, i fachowo oceniał szanse.

–Jeśli zdążymy, wrócimy po niego – rzekł Frank powoli. – To kwestia właściwego wykorzystania czasu.

Działko na chwilę zakrzusło się w samym środku serii. Mogło to znaczyć, że napastnicy mają jakiś problem techniczny. W polu widzenia nie było już nowych maszyn, a żołnierze po masakrze, jaką im urządziła Monika, posuwali się bardzo ostrożnie, wykorzystując każdą osłonę terenu.

–Teraz! – ryknął Kova i sam ruszył naprzód.

Biegł najszybciej jak potrafił, wiedząc, że nawet nie usłyszy serii, która go zabije.

Padł na ziemię pięćdziesiąt metrów dalej, u podnóża rozłożystego dębu. Automaty żołnierzy znów rozszczękały się ogniem, ale większość pocisków trafiała na szczęście w głazy. Monika, szybsza trochę niż on, w przykłęku odpoczywała parę metrów dalej, natomiast Frank dotarł mniej więcej tam, gdzie Kova.

–Te kamienie są chyba obrobione dłutem, wygląda to na jakieś dawne miejsce kultu – wyrzuciła z siebie zdyszana Monika. – Na górze musi być miejsce mocy. Gdy się tam dostaniemy, będziemy w stanie dokładniej wybrać czas powrotu.

Frank przytaknął. Kova nie zwlekał i jako pierwszy dźwignął się do dalszego biegu. Za sobą słyszał trzask łamanych gałęzi. Wozy bojowe przedzierały się przez zarośla.

Razem z Frankiem biegli równo obok siebie. Naraz z gęstej trawy wynurzył się niski kamienny murek. Doskonała kryjówka. Kova przygotowywał się do skoku, gdy nagle kątem oka spostrzegł,

że Murzyn pada na ziemię. Zatrzymał się z poślizgiem i wrócił po niego. Dziwne, nie zauważył żadnej rany, ale Frank ledwo dyszał i był nieprzytomny.

Trawa zaszeleściła, Monika znalazła się przy nich.

–Do dupy! – zaklęła. – Efekt Maurby’ego! Jak najszybciej musimy go stąd zabrać.

Strzelanina na moment ucichła i do uszu Kovaa doleciał donośny trzask gałęzi.

Blisko, zdecydowanie zbyt blisko.

–Za murek! – syknął.

Chwyił Franka za pas, drugą ręką podciągnął pod pachę i poderwał w górę. Upadł, bo bezwładne ciało, zbyt ciężkie, by je utrzymać, wysunęło mu się z rąk. Rzucił krótkie spojrzenie na Monikę.

–Sporo coś waży!

–Nieco ponad dwa kwintale – przyznała. – Nie damy rady go ruszyć.

Kova zdawał sobie sprawę, że żaden człowiek, nawet tak umiejętny jak Frank, nie może ważyć dwa razy tyle co przeciętny mężczyzna. Oczywiście o ile Frank był człowiekiem. Na takie rozważania nie miał jednak czasu. Razem wpadli w tarapaty, razem muszą się z nich wyplątać. Głęboko odetchnął, jeszcze raz schwycił mocno towarzysza i pociągnął ze wszystkich sił. Miał wrażenie, że pęka mu kręgosłup, lecz w końcu podźwignął bezwładne ciało, przewiesił przez murek i stoczył w dół.

W momencie gdy równocześnie z Moniką zniknął po drugiej stronie murku, po kamieniach zagrzecotała salwa. Dziewczyna sięgnęła do kostki i wyciągnęła mały pistolet. Kova rozpoznał browninga, dziewiątkę.

–To wszystko, co mam – oznajmiła. – Potrzebuję pięciu minut, żeby mu przeprogramować retrans. – Wskazała na masywną sprzączkę u pasa. – Obiecuję, że wrócimy po ciebie.

Kova nie pojmował, o co jej chodzi. Odłożył broń, nisko pochylony przesunął się ku wyłomowi w murze, który wypatrzył już wcześniej, i na czworakach przeczołgał się na drugą stronę. O ile dochodzący dźwięk go nie mylił, znalazł się prawie na wprost najszybszego z nacierających żołnierzy. Transportery utknęły, nie radziły sobie na stromych pochyłościach porośniętego rzadkim zagajnikiem zbrocza.

Zamarł między dwiema kępami ostu, przylepiony do ziemi, lekko tylko unosząc głowę, żeby cokolwiek widzieć.

Już tu byli. Szli, brodząc w wysokiej trawie. Nie wszyscy mieli karabiny, niektórzy tylko zwyczajne strzelby. Ich mundury nie kojarzyły się z niczym, co Kova kiedykolwiek widział. Sprawiały wrażenie zebranych bez ładu i składu z magazynów każdej znajomej armii. Najbliższy mężczyzna minął go w odległości dwóch metrów. Rozglądał się bacznie, skupiając uwagę przede wszystkim na kamiennym murku. Na pewno oczekiwał, że nieprzyjaciel ukrył się właśnie tam. Był uzbrojony w karabin z obtłuczoną drewnianą kolbą, a na prawym boku nosił kaburę z rewolwerem. Kova sięgnął do pasa. Nie miał w nim ukrytego retransu, cokolwiek to było, lecz prosty nóż szturmowy z oksydowanej stali. To musiało na razie wystarczyć. Za najbliższym żołnierzem dostrzegł następnych. Nierówną linią zbliżali się do murku.

Naliczył pięciu, ale z pewnością było ich więcej. Teraz nie mógł niczego schrzanić. Najważniejsze, żeby nie poruszać się tak gwałtownie, by zwrócić na siebie uwagę, ani

tak wolno, by dać nieprzyjacielowi szansę na reakcję. Na czworakach, nisko pochylony przesunął się o krok, potem drugi. Żołnierz powoli obrócił się ku niemu.

Skoczył, dźgnął mocno i precyzyjnie. Nie wyciągnął noża z rany, tylko lewą ręką objął bezwładne ciało, a równocześnie prawą schwycił karabin i namacał spust. Pierwsza seria musi być krótka. Broń kopała dokładnie tak, jak się po takim rupieciu spodziewał. Druga seria. Trzecia. Wszyscy żołnierze, którzy zbliżali się do murku, upadli na ziemię. Martwi podrygiwali w rytmie kanonady otwartej przez swoich towarzyszy z drugiej linii.

Kova ześlizgnął się na ziemię i nakrył ciałem zabitego, ze świeżych ran pociekła ciepła jeszcze krew. Odrzucił karabin, wyciągnął z kabury rewolwer i zaczął czołgać się przez trawę byle dalej od muru, naprzeciw nadchodzącym żołnierzom. Wiedział, że są przestraszeni, więc wstrzymują się na chwilę zdezorientowani. Musiał działać, zanim dojdą do siebie i zrozumieją, co się właściwie wydarzyło.

Kiedy się czołgał, stwierdził, że ścieka mu po ręce coś ciepłego. Krew. Musiał oberwać, mimo że ukrył się pod trupem. Błyskawicznie

przewiązał ranę chusteczką. Żołnierze ruszyli znowu, naprzeciw muru kręciło się teraz trzech. Nie widział, ilu ubezpieczało tyły. Gdyby wypalił raz, miałby chwilę na ukrycie się, ale gdyby strzelił dwa razy, pewnie by nie zdążył. Ryzyko, że osiągnie go odpowiedź ogniowa, byłoby ogromne. Po trzech wystrzałach nie miałby już żadnych szans. Zdecydował się na dwa. Chwycił gładką kolbę rewolweru obydwoma dłońmi, wypatrzył miejsce, gdzie powinien paść, gdy już odda strzały, podniósł broń i wymierzył w żołnierza trzymającego w ręce granat.

Powinien go użyć wcześniej, pomyślał automatycznie.

Prask, prask. Światem wstrząsnęła cała seria wybuchów, ale to już nie dotarło do jego świadomości. Padając na ziemię, poczuł, jak kule ocierają się o jego ciało. Zdołał spostrzec jeszcze Monikę likwidującą wystrzałem z bliska ostatniego napastnika, który przewrócił się tuż obok jej prowizorycznego szańca. Kova wpadł do płytkiego, porośniętego łopuchami dołka, dokładnie tak, jak planował. Żył, mógł się poruszać, co znaczyło, że go nie trafili, raczej liznęli ostrym językiem ołowiu. Z dołu zбочa dobiegła teraz cała kanonada wybuchów i eksplozji, silniki rozwarczały się na całego. Kova czołgał się pomiędzy zielonymi łodygami.

Na miejscu żołnierzy już dawno wrzuciłby granat do dołka, gdzie się skrył. Ledwo zdążył to pomyśleć, ogień owionął mu tyłek, a gwizdzące odłamki przemknęły nad głową.

Nie byli tacy głupi, tylko trochę powolni, stwierdził. Pokonał na brzuchu jeszcze kawałek, a potem wtoczył się do dziury po spróchniałym drzewie i przez chwilę zastanawiał się, co dalej. Nie

mógł już więcej pomóc Monice, zostały mu tylko dwa naboje. Jeśli jednak zdoła przesunąć się nieco głębiej, to może zniknie żołnierzom z oczu. W czasie gdy się bronili, zaczęło zmierzchać, a w szarówce trudniej będzie go znaleźć.

Na krawędzi jamy mignął jakiś cień. Kova instynktownie wystrzelił, chybił i poprawił ostatnim nabojem. Mężczyzna zachwiał się, ale zamiast upaść, podniósł własną broń.

Lepszy mundur, kamizelka kuloodporna, kanciasty, nietypowy pistolet – oficer, zrozumiał Kova. W jednej chwili skoczył ukośnie w lewo, umykając z linii ognia. Liczył na szansę, że strzał go nie dosięgnie. Ognisty podmuch osmalił mu głowę, krew oślepiła, ale zdołał zahaczyć ramieniem kolano napastnika. Udało mu się przewrócić wroga na ziemię, równocześnie instynktownie wymacał głowę, aby wbić palce w oczy. Kolejny wystrzał i noga nagle odmówiła posłuszeństwa. Pod palcami wyczuł wreszcie twarz. Nieruchomą, jak gdyby martwą. W miejscu oczodołów namacał tylko lepką otwartą ranę. Potem ogarnęła go ciemność.

W SZPITALU

Nieprzytomny człowiek zawsze zdradzi uważnemu obserwatorowi, że wraca mu świadomość. John F. Kova otworzył oczy i szybko je zamknął. Leżał w szpitalnym łóżku, miał zabandażowaną nogę i głowę, zaś obok stali dwaj mężczyźni pogrążeni w rozmowie. Na szczęście w krytycznej chwili, gdy na moment dał po sobie poznać, że odzyskał przytomność, nie patrzyli w jego stronę. Zdołał szybko zaobserwować zakratowane okna i nabrać pewności, że jeden z tej dwójki nie był lekarzem, chociaż miał na sobie biały kitel. Wskazywały na to postawa, zwięzłość wypowiedzi i charakterystyczny zarys broni przy pasie.

Żołnierz, skonstatował Kova, policjant nosiłby pistolet w ukryciu.

–Jak pan sądzi, kiedy się wybudzi? – te słowa wzmogły jego czujność.

Mężczyźni mówili po czesku. Ostatnie wydarzenia – Kova zawahał się, czy minuty, czy raczej godziny – przebiegały w tak zawrotnym tempie, że nie miał czasu się nad niczym zastanowić. Do wypadku doszło daleko od Pragi. Nie wiedział dokładnie jak i gdzie, ale w tej chwili nie było to ważne. A teraz postawiłby butelkę pilznera przeciw każdemu podpiwkowi świata, że znajduje się w jakimś

nieznanym miejscu. Kitle miały inny kolor niż zwykłe ubrania szpitalne, ton wypowiedzi oficera był zbyt warkotliwy i władczy, kraty w oknach zbyt masywne – a to oznaczało koszty, których w dobie oszczędności nikt nie chciał ponosić.

Znajdował się gdzieś indziej. Albo zwariował. Ta druga możliwość nie brzmiała wcale pocieszająco.

–Czysty postrzał nogi, goi się świetnie, kapitanie – odpowiedział lekarz. – Powiedziałbym nawet, że to cud. Niezły twardziel z niego.

Jego czeski miał niezwykle miękkie, słowiański akcent. Mimo ostrej intonacji oficer mówił podobnie.

–Jak dla mnie, to możecie mu tę nogę zaraz uciąć, chcę tylko wiedzieć, kiedy będzie się nadawał do przesłuchania – wyszczekał wojskowy.

–Nie wiem, rana głowy jest powierzchowna, ale spowodowała wstrząs mózgu. Brakuje mi odpowiedniego sprzętu medycznego, żeby powiedzieć coś więcej. Rozumie pan, ograniczone środki finansowe... – głos lekarza zabrzmiał jadowniczo.

Podłoga zaskrzypiała, chwilę później skrzypnęły też drzwi. Kova zrozumiał, że wojskowy odszedł. Lekarz zaczął pogwizdywać. Szkło zabrzęczało o szkło, widocznie doktor przebierał w licznych buteleczkach, które Kova zdołał dostrzec na stoliku przy łóżku.

–Kontrwywiad to ostre chłopaki – mamrotał lekarz do siebie, Bóg wie po co. – Popędliwi tacy, myślą, że wszystko im wolno. A ich metody przesłuchań nie są wcale, ale to wcale humanitarne.

Kova zaryzykował krótkie mrugnięcie. Lekarz, wysoki, łysy chłop o postawie byłego koszykarza, stał zwrócony ku gablotce z narzędziami i gapił się na nią ostentacyjnie. W szybie otwartych drzwi odbijała się jego twarz, więc

spojrzenia pacjenta i medyka na moment się spotkały. Mężczyzna nie dał jednak po sobie poznać, że cokolwiek zauważył.

–Gdyby to mnie spotkał kiedyś taki pech, a mam nadzieję, że nigdy nie spotka, wymyśliłbym sensowną historyjkę i trzymał się jej nawet za cenę ucha, kilku palców albo, nie daj Boże, całej ręki. Tylko wtedy człowiek ma szansę wyjść z ich szponów żywy – kontynuował monolog.

Kova nie zastanawiał się, czemu facet mu pomaga, ale od każdej informacji zależało jego życie, przystąpił więc do gry i słuchał w milczeniu.

–Według mnie nie ma potrzeby, żeby pacjenta ze wstrząsem mózgu pilnowało dwóch strażników, ale – lekarz wzruszył ramionami –oni mają nadmiar ludzi. Coś mi się zdaje, że jutro przywiozą encefalograf, a razem z nim przybędzie specjalista do spraw wywiadu. Dlatego bardzo bym się ucieszył, gdybym mógł przy porannej wizycie stwierdzić, że stan zdrowia pacjenta uległ znacznej poprawie i że można go spokojnie wypisać ze szpitala.

Powiedziawszy to, otworzył drzwi i wyszedł na korytarz. Kova odczekał trzy minuty, spuścił nogi z łóżka i ostrożnie wstał. Jakoś to poszło, choć trochę kręciło mu się w głowie, ale czuł, że szybko da radę nad tym zapanować.

Chcieli go przesłuchać. Prawdopodobnie brutalnie, wbrew jakimkolwiek przepisom. Zresztą nie wiedział, jakie przepisy tu obowiązują.

Zbadał wzrokiem salę pełniącą rolę tymczasowego więzienia. Jediną drogą na zewnątrz okazały się drzwi, lecz według tego, co mówił lekarz, pilnowali ich dwaj strażnicy. Okna były solidnie zakratowane. Ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. Z wysokości trzeciego piętra ujrzał krzywo wybrukowane podwórze, ze wszystkich stron otoczone ścianami domów o brudnych, zapyziałych oknach.

Mógł się znajdować gdziekolwiek. W Pradze, w budynku z czasów pierwszej republiki lub choćby w Paryżu, ponieważ i tam jest pełno takich ponurych, depresyjnych miejsc. Po cichu kontynuował ostrożny rekonesans, pod bosymi stopami wyczuwając nierówności źle położonej posadzki.

W misce wyłożonej gazą znalazł nożyce i kilka małych skalpeli. Nie sięgnął po nie. I tak nie miałby ich gdzie schować, a gdyby znaleźli przy nim tego rodzaju narzędzia, pogorszyłyby tylko swoją sytuację, już teraz nie najlepszą. Jeśli dojdzie do najgorszego, zawsze może polegać na rękach. Gołych rękach.

Bardziej zainteresowały go przegródki z lekami. Znalazł kilka rodzajów tak zwanych narkotyków prawdy: skopolaminę, amital sodowy, digitalin, MDA. Przy niewłaściwym dawkowaniu większość tych substancji okazywała się zabójcza, a wszystkie były szkodliwe dla zdrowia. Widocznie humanitarne metody nie były tu specjalnie w cenie.

W najniższej szufladce natknął się na poczwórną złożoną gazetę. Nazywała się „Dzisiejszy Front”, zaś wyglądem przypominała najzwyczajniejszy poranny dziennik, choć jednocześnie wydawała się dziwnie obca. Data, przynajmniej jak to pamiętał, powinna być przedwczorajsza.

Wielki, wydrukowany wysokimi na cal literami tytuł oznajmiał, że czeskie władze przeznaczyły pięćset milionów koron na zakup technologii cechowania Karpensiego i że jak dotąd żadna izba parlamentu nie przegłosowała możliwości wprowadzenia tej techniki

do użytku. Poseł Krapiczka w swoim wystąpieniu oświadczył, że jest temu stanowczo przeciwny, i wezwał wszystkie czynniki urzędowe do poparcia absolutnego zakazu jej stosowania.

Naraz z korytarza dobiegł dźwięk kroków. Kova jednym susem wskoczył do łóżka i zamknął oczy. Gazetę zdążył schować pod kołdrą. Zawiasy skrzypnęły, odgadł, że ktoś zagląda do środka, po czym drzwi znów trzasnęły. Uniósł powieki dopiero wtedy, gdy zyskał pewność, że w pokoju nie ma nikogo prócz niego. Kontynuował czytanie w łóżku. Śpiewak Charlie Gott sprzedał Lucernę. Po porażce w Gujanie legia cudzoziemska została definitywnie rozwiązana. Francuski prezydent stwierdził, że żaden z byłych żołnierzy nie ma ani nie otrzyma obywatelstwa francuskiego, a jego kraj nie jest zainteresowany ich dalszym losem. Co więcej, „The Guardian” uznał byłych legionistów za przestępczą bandę podrzynaczy gardeł. Na drugiej stronie znalazły się, jak zwykle, skandale dotyczące korupcji polityków, sprawy kryminalne i tym podobne.

Wiadomości zdawały się całkiem podobne do tych, które Kova znał ze swego świata, co wcale nie znaczy, że takie same. Nawet nazwy głównych partii politycznych – Partia Obywatelska i Demokraci – brzmiały znajomo.

Znów kroki, tym razem mocniejsze. Kova schował gazetę pod materac i zamknął oczy. Miał czas do rana, żeby dowiedzieć się jak najwięcej i wrócić do pełni sił. Jeśli nie zwariował, a na tę ewentualność nie było żadnej rady, to dostał się do jakiegoś świata

spokrewnionego z jego własnym. Lecz, o ile to możliwe, trochę bardziej brutalnego i nieokrzesanego.

Przesłuchanie

O piątej rano z plastikowego głośnika zawieszzonego równo nad drzwiami popłynęła muzyka pop i jednocześnie zapaliło się światło. John F. Kova dokończył ostatnie ćwiczenie rozciągające mięśnie. Mimo że już ponad dwadzieścia cztery godziny nic nie jadł, czuł, że jest w o wiele lepszej formie niż wczoraj. Gdy piosenkę w połowie przerwał sztucznie radosny głos prezentera, przez chwilę miał wrażenie, że jest w domu, a ponury pokój szpitalny to tylko pozostałość męczącego snu lub nocnego koszmaru.

Jednak w tej samej chwili odezwało się podwójne staccato zbliżających się kroków. Jedne z pewnością rozpoznawał, drugie, jak przypuszczał, należały do kobiety.

W zamku zazgrzytał klucz, trzasnęła klamka. W drzwiach pojawiła się pielęgniarka. Włosy koloru rdzy, piegi na policzkach, bluza mundurowa ciasno opinająca duże piersi. Przypominała Kovaowi reklamę irlandzkich wyrobów spożywczych, którą kiedyś widział.

Jednakże ta dziewczyna była żywa, a gdy spostrzegła, że już nie śpi, na jej twarzy

pojawiły się dołączki nieklamanej radości. – Obudził się pan! Świetnie, zaraz zawiadomię doktora!

Za nią, w progu, stanął mężczyzna, wojskowy. Nie musiał się odzywać, po samej postawie Kova rozpoznał wczorajszego gościa. Facet nie miał na sobie kitla, tylko mundur z wyraźnie pogrubionymi ramionami. W wyjątkowo dużej kaburze tkwiła broń. Kova natychmiast rozpoznał surowy wyraz twarzy. Pan nikt, ważniejszy niż inni, doskonały robot w dowódczej hierarchii.

–Grabus, Denbe – rzucił mężczyzna, sięgając do pasa i wyjmując broń.

Kova nie widział dotąd podobnej konstrukcji. Trochę przypominała stary rosyjski nagan przebudowany dzięki nowoczesnej, choć równocześnie obcej technologii. Jedno było pewne – ogromny magazynek mieścił dość amunicji, aby ważniak mógł sobie poradzić z całą drużyną opornych.

Okazało się, że Grabus i Denbe to strażnicy. Jeden był wielki, z rękami zbyt długimi nawet jak na swój wzrost, a drugi odwrotnie, krępy, z wypukłą klatką piersiową i spojrzeniem orangutana. Kova spotykał już podobne typy.

–Aresztant jest gotowy do przesłuchania, związać go – rozkazał oficer.

W opuszczonej ręce trzymał pistolet.

Kova zmienił plany. Lepiej zachować ostrożność. W dodatku podczas bijatyki mogłaby oberwać siostrzyczka. Będzie musiał jakoś przetrwać przesłuchanie.

Grabus i Denbe podeszli do niego. Nie wyjęli pałek ani innych środków przymusu. Albo byli głupi, albo bardzo doświadczeni.

Sądząc według tego, jak sprawnie związali mu ręce i nogi, przyjął drugą opcję.

–Tylko lekarz może go wypisać! – desperacko zaprotestowała siostrzyczka.

Kovaowi trochę absurdalnie zrobiło się jej żal.

–Lekarza poprosimy do niego natychmiast, jeśli tylko będzie potrzebny. Czyli wkrótce, niech się pani nie boi – złowieszco odpowiedział oficer.

Grabus i Denbe wyprowadzili Kovaa z pokoju. Poczuł, jak Denbe mocno ścisną mu ramię, by się przekonać, jaką dysponuje siłą. Gdy żołnierz zrozumiał, z jakiego ciasta ulepiony jest więzień, kiwnął z zadowoleniem głową.

We wszystkich korytarzach paliło się światło. Panował poranny spokój, natknęli się po drodze tylko na jednego lekarza, a ten z miejsca udał, że ich nie widzi, i szybko zniknął za najbliższymi drzwiami. Kova podejrzewał, że przedtem konował wcale nie miał zamiaru tam wchodzić.

Prowadzili go w dół. Z trzeciego piętra na parter, a potem głębiej, do sutereny i następnej podziemnej kondygnacji.

Korytarze tu też były białe, podłoga wyłożona sterylnie czystymi kafelkami, ale nikt normalny by nie powiedział, że podziemia należą do szpitala. To raczej szpital należał do kompleksu śledczego.

Na trzecim poziomie wprowadzili Kovaa do pomieszczenia, którego przeznaczenie

stawalo się jasne już na pierwszy rzut oka. To tu przeprowadzano przesłuchania trzeciego stopnia, jak mawiano

zgodnie z nowoczesną terminologią, co oznaczało ni mniej, ni więcej, jak tylko przyzwolenie na stosowanie tortur. Na zwyczajnym drewnianym krześle, poznaczonym czarnymi plamami, siedział chudy mężczyzna o oczach powiększonych grubymi szklami popękanych okularów. Nosił niezbyt czysty biały kitel, miał brudne paznokcie i długie czarne włosy na grzbietach dłoni.

Siłą posadzili więźnia na krześle ze stalowych, chromowanych rurek. Z tego samego materiału powstała reszta wyposażenia pokoju. Wystarczyło jedno spojrzenie, aby Kova rozpoznał nieznacznie zmodernizowane narzędzia tortur. W tym świecie inspiracje czerpano ze średniowiecza. Choć być może ze względu na anatomię człowieka nic lepszego po prostu nie wymyślono.

–Jestem waszym śledczym – rozpoczął okularnik zimno. – Każde pytanie, które zechcę wam zadać, padnie z moich ust. Ja też będę decydował, czy mówicie prawdę, czy łżecie.

Kova przestał słuchać i przyjrzał się oficerowi, strażnikom i otoczeniu.

Dla oficera stanowił tylko przeszkodę, którą trzeba pokonać. Facet pewnie byłby szczęśliwy, gdyby Kova w ogóle nie istniał. Za to inkwizytor kochał swoją pracę, choć starał się zamaskować swoje skłonności profesjonalizmem. Prawdopodobnie nie był całkiem normalny. Zarabia na życie dzięki sadystycznej aberracji, osądził Kova. Co do dwóch strażników, tyczkowaty robił po prostu to, za co mu płacili, i było mu wszystko jedno, co się stanie z przesłuchiwanym, zaś Denbe najchętniej zmierzyłby się z więźniem w

walce jeden na jednego.

–Zdaje mi się, że tymi przyrządami sobie z nim nie poradzicie – rzekł nagle Grabus.

Śledczy zmierzył go zasępionym spojrzeniem, oficer badawczym.

–Dobra – zgodził się w końcu ze zdaniem podwładnego i gestem powstrzymał protesty okularnika. – Zawołać Grushina.

Kova przypomniał sobie ostrzeżenia lekarza. Na razie nie mieli zamiaru używać fizycznego przymusu, co więc zamierzali zrobić, gdy nie pękł przy pierwszej pogroźce? Odpowiedź była jasna: zastosować przemoc psychiczną. Grabus oddalił się, zapewne wypełnić rozkaz. Oficer wyszedł na korytarz, zamknął drzwi, dało się słyszeć pstryknięcie zapalniczki. Śledczy przez chwilę przyglądał się niezadowolony Kovaowi, a potem zwrócił się do Denbego:

–Jak myślisz, ile wytrzyma? Stawiam dwie piątki, że go Grushin rozgryzie w dziesięć minut.

Przysadzisty zmierzył okularnika pogardliwym spojrzeniem, splunął tuż przed nim na ziemię i wzruszył ramionami.

–Sram na rzadko na to, co robisz ty albo Grushin. Stawiam trzy piątki, że wytrzyma godzinę. To twardziel.

Kova poczuł pewną obawę, ale nie strach, jak ocenił chwilę później. Denbe to brutalny typ i było jasne, że ocenił go jak równego sobie. I dlatego dał mu godzinę.

Nie mógł się nigdzie wycofać, ostatnią szansę pogrzebał na górze, w pokoju. Nie pozostawało nic innego, jak wytrwać.

Grushin wyglądał na urzędnika. Urzędnika, który zamiast zasłużonego piwka „dziesiątki” w piątek wieczorem walnie sobie dawkę LSD i popije naftą.

Pognieciona marynarka ze zbyt luksusowego materiału, trochę za bardzo błyszczące oczy, niezdrowy wygląd, łysina. Razem z nim do środka wmaszerował Grabus, ale prawie natychmiast obrócił się i wyszedł na korytarz, zabierając ze sobą Denbego.

–Wytrzyma godzinę – rzucił jeszcze Denbe przez ramię.

–Gównu – odkrzyknął śledczy. Ich rozmówki nie obchodziły Grushina. Usiadł na ławce i wbił w

Kovaa klujący wzrok.

–Zadajcie mu pierwsze pytanie – rozkazał okularnik.

–Dla kogo pracujecie? Kova czuł, jakby ktoś wcisnął mu w czoło stalowy pazur i obracał nim w mózgu.

–Dla nikogo – odpowiedział zgodnie z prawdą, a ból trochę zelżał.

–Skąd jesteście?

–Jestem, byłem legionistą. Rozwiązali nas po latach służby i wróciłem do domu – odparł, trzymając się wersji, którą przygotował według przeczytanej gazety.

W głowie eksplodował ból, w ustach poczuł mdłości. Grushin musiał być hipnotyzerem lub kimś podobnym. Kovaowi nie udało się uciec od jego wzroku.

–Co robiliście na miejscu strzelaniny? – zabrzmiało kolejne pytanie.

Nazywam się John Frantiek Kova, powtórzył w duchu. Mój ojciec to Józef Kova, matka Elisabeth Francis. To pomogło mu przyjść do siebie.

–Byłem tam przez przypadek – odpowiedział. Ból nie wzrastał.

–Skąd wracaliście? – padło następne pytanie.

–Z Gujany.

Ból o mało nie pomieszał mu rozumu.

Jestem John Frantiek Kova, wrócił do swojej litanii.

Następne pytanie.

Wieczorna przechadzka

Gdy zgrzytnął klucz w zamku, więźniowie osadzeni w celi zbiorowej popatrzyli po sobie. Na kolację było jeszcze za wcześnie, na tyle znali już porządek dnia. Przed zakratowaną celą pojawił się profos, a za nim dwóch łapiduchów z noszami.

–Pod ścianę! – zawołał podoficer.

Grupka mężczyzn z wynędzniałymi twarzami i w podartych

ubraniach posłusznie przesunęła się w żądanym kierunku. Zazgrzytał drugi klucz, drzwi się otworzyły. Cała trójka weszła do środka i bez większych ceregieli zrzuciła z noszy pojękującego mężczyznę, po czym wszyscy wyszli.

–Wiedziałem, że na kolację jeszcze za wcześnie – zauważył bezzębny trzydziestolatek.

Starzec z długimi włosami związanymi w warkoczyk skórzanym rzemykiem zamyślony przyglądał się przyniesionemu biedakowi. Potem, jakby przypadkiem, poszedł w kąt celi i położył rękę na rurce centralnego ogrzewania. Niebawem zabrzmiał sygnał:

Przeżył cały dzień przesłuchania czwartego stopnia. Uwikłali go w tajne sprawy. Były legionista.

Starzec docenił treść informacji. Mężczyzna leżący na ziemi był ulepiony z twardej gliny, a właśnie takich potrzebowali.

Namacał w kieszeni kostkę cukru. Przydawała się po przesłuchaniu przez przeklętych państwowych czarodziejów. Nienawidził ich, podobnie jak wielu innych.

W odróżnieniu od tamtych jednak on od czasu do czasu podejmował jakieś działania.

–Pomóżmy mu, do cholery, każdy z nas mógł podobnie wpaść -zaburczał na współwięźniów i jako pierwszy pochylił się ku pojękującemu.

Ktoś na zewnątrz uderzył w wiszący kawałek szyny kolejowej, a dźwięk wdarł się boleśnie do uszu. Na korytarzu stopniowo zaczęły gasnąć światła i żółtawy blask zakurzonych gołych żarówek w starych, popękanych oprawkach zastąpiło przyćmione światło świetlówek o małej mocy, które miały rozjaśnić ciemność na tyle, by strażnicy mogli przechodzić między celami. Kova siedział tyłem do muru. Czuł się, jakby zakończył dwutygodniową pijatykę, podczas której pobił się z kimś niezliczoną ilość razy, a na koniec dostał zastrzyk dożylny z czegoś bardzo ostrego, co zmuszało jego myśli do szalonego, bezładnego galopu.

Podobnego przesłuchania nigdy nie doświadczył. Albo Grushin był mistrzem hipnozy przeprowadzanej gwałtem, albo używał zupełnie innej techniki. Gdy Kova wytężał wszystkie siły, potrafił stawić mu opór. Punktem zaczepienia były pytania, na które

szczęśliwym zbiegiem okoliczności mógł odpowiadać zgodnie z prawdą i niczego nie zdradzić. Przeciągnął się ostrożnie i pokręcił głową. Fizycznie czuł się nieźle, ból tkwił tylko w głowie. Z przeciwka obserwowała go przenikliwie para oczu. Należały do starego mężczyzny, który jak inni ubrany był w znoszoną odzież, ale w odróżnieniu od pozostałych więźniów okazywał współczucie. Tylko czemu po przesłuchaniu prowadzonym przez kontrwywiad, czy coś w tym rodzaju, umieszczono go w zwyczajnym więzieniu? Kova nie potrafił znaleźć odpowiedzi na to pytanie, zwłaszcza że z ostatniej fazy przesłuchania niczego nie pamiętał.

–Podobno kontrwywiad zabiera się za uczciwych ludzi – wyraził swoją opinię stary.

–Taa, są nieźle rozjuszeni – Kova podjął grę.

Wydawało się, że reszta więźniów już śpi.

–Na miejscu została kupa trupów, a oni nie wiedzą, kto to zrobił – kontynuował mężczyzna.

–Taa, a ja dostałem się między dwa młyńskie kamienie, które mnie o mało nie rozgniotły.

–Nazywam się Johan Kress – stary nie skomentował ostatniego zdania. – Jak się wydostaniesz i będziesz szukał jakiejś pracy, spróbuj znaleźć faceta o nazwisku Richter. Ma firmę niedaleko mostu Karola. Powiedz mu, że to ja cię przysyłam.

–Rozumiem – przytaknął Kova.

Wiedział, że pod słowami „jak się wydostaniesz” Kress rozumiał „jeśli się wydostaniesz”. Po przesłuchaniu przewieźli go do innego więzienia, zapewne bez dokumentów, zapewne na rozkaz kogoś wysoko postawionego. Jeśli coś mu się tu przypadkiem przytrafi, to obędzie się bez większych problemów. I w domu – Kova uświadomił sobie, że tym słowem określił rzeczywistość, w której żył minione trzydzieści sześć lat – istniały miejsca, gdzie stosowano podobne praktyki. A już na pewno w Gujanie Francuskiej czy Beninie. A jednak tu była Praga albo przynajmniej miejsce do niej podobne, choć mniej więcej w tym samym stopniu co oryginalna whisky ze szkockiej gorzelnii do berbeluchy ze stosowną nalepką z Dolnych Kotehulek.

Milczeli. Kova namyślał się i równocześnie wyginał w odpowiedni kształt kawałek mocnego drutu, który wyciągnął ze schowka w bucie. Oficer za wszelką cenę chciał się dowiedzieć, dla kogo Kova pracował i w jaki sposób dowiedzieli się o koordynatach akcji. Z góry zakładał, że Kova jest śrubką w mechanizmie jakiejś większej organizacji. A sądząc z wyrazu twarzy, wiedział, jaka to organizacja, i zależało mu tylko, aby więzień jego domysły potwierdził.

W ciszy nocnej rozległy się powolne kroki. Tak chodzili klawisze, dostojnie, ze świadomością władzy, jaką mieli nad więźniami. Dźwięk rozpląnął się słabnącym echem. Kova wrócił myślami do chwili, gdy ktoś zabił mężczyznę, z którym walczył wręcz w wykrocie. Tak, to byli ci drudzy, których oficer kontrwywiadu chciał ujawnić.

To, czego się spodziewał, nadeszło po północy. Znow kroki, tym razem podwójne. Niezbyt głośne – gdyby ich nie oczekiwał, nie usłyszałby miękkich odgłosów podeszew na elastycznej zelówce.

–Kova, John F. Kova – odezwał się ktoś w ciemnościach.

Stożek oślepiającego światła ślizgał się po twarzach śpiących.

Kova posłusznie wstał i zgarbiony, niepewnym krokiem ruszył

ku nocnym gościom. Zaraz za drzwiami założono mu kajdanki na ręce, lecz tym razem nie skrupowano nóg. Przyszli po niego Denbe i Grabus.

Dostatecznie wymowne. Pozwalając się prowadzić bez oporu, próbował przygotowanym wcześniej drutem otworzyć kajdanki. Miał nadzieję, że okażą się typowe. Nie udawało się, dopóki siedł, potrzebował choć chwili bezruchu. Szli teraz nieco lepiej oświetlonym korytarzem na wyższe piętra. Domyślił się, że chcą go wyprowadzić na zewnątrz. To dawało mu więcej czasu, o ile nie mieli w zwyczaju używać tłumika i nie prowadzili go prosto do kostnicy, pomyślał cynicznie. Na kolejnym piętrze, przed ścianą z matowego szkła oddzielającą pomieszczenia biurowe od korytarza, spotkali trzech mężczyzn w cywilu. Wystarczył jednak rzut oka na napięte twarze o chłodnym wyrazie, aby stwierdzić, że to nie cywile i że nie znaleźli się tutaj o wpół do drugiej w nocy bez powodu.

Grabus zwolnił, odsunął się o krok od Kovaa i swego kompana, po czym jakby

przypadkiem opuścił rękę ledwie kilka centymetrów od kabury broni. Kova nie wiedział, co robi Denbe.

–Dokąd to zmierzacie, panowie? – zapytał stojący w środku trójki. W lewym uchu miał słuchawkę, do kłapy kołnierza przypięty mikrofon.

–Nic wam do tego. Sprawa kontrwywiadu – osadził go ostro Grabus.

–Bez wątpienia, o ile nie zabieracie naszego więźnia – przytaknął mężczyzna.

Jego towarzysze na chwilę zbliżyli się ku ścianie z matowego szkła. Jednostronne lustro, stwierdził Kova, jednocześnie zauważając, że drzwi do środka są otwarte.

–To jest nasz świadek, nie podlega jurysdykcji tajnej policji – Grabus przybrał bardziej rzeczowy ton.

Z kieszeni na piersi wyciągnął plik dokumentów i podał je temu naprzeciwko.

Drugą rękę wciąż trzymał przy broni. Wyglądało na to, że kontrwywiad i tajna policja niezbyt się kochają. Ktoś poruszył się za szklaną ścianą, Kovaowi towarzyszyło natarczywe uczucie, że ktoś mu się przygląda z bliska. Poczł zapach perfum – róży z cytrusem i jeszcze czymś, czego nie rozpoznał.

–Zatrzymajcie się tu z nim, zobaczymy, co my tu mamy.

Nie wiedział, czy naprawdę usłyszał te słowa, czy to wytwór

jego wyobraźni. Dowódca trójki pobieżnie przebiegł wzrokiem po dokumentach i zwrócił je Grabusowi.

–Muszę się usprawiedliwić, poruczniku, ma pan rację. –

Zakończył ironiczną parodią salutu.

Kova ruszył dalej z eskortą; wciąż czuł wzrok wbijający mu się w potylicę. Gra trwała.

Na zewnątrz było chłodno i wilgotno, jak to czasem bywa w porze zimnych świętych. Na dworze rozpoznał ciemny kształt limuzyny, w bramie stała warta.

–Dasz radę sam? – spytał spokojnie Grabus.

–Jasne – odpowiedział Denbe. Obrócił się na pięcie, w ręce zabłysnął mu obuszek.

Cios był prosty, szybki i doskonale wymierzony. Gdyby Kova nie oczekiwał czegoś podobnego, dostałby prosto w potylicę, ale zdążył lekko targnąć głową i większość siły uderzenia ześlizgnęła się po czaszce. Cios spowodował, że usiadł na ziemi i wcale nie musiał wysilać się na popis aktorski. Wepchnęli go do auta. Ledwie zamknęli drzwi, wreszcie zdołał otworzyć kajdanki. Usłyszał trzaśnięcie przednich drzwiczek, prawie niesłyszalny silnik zaskoczył. Tapicerka była skórzana, a samochód duży i przestronny, więc Kova nie poczuł się zaskoczony luksusem i wygodą. Mogła zaskakiwać jedynie ścianka z pleksi, w której matowo odbijały się światła mijanych latarni. Doskonale więzienie na drogę bez powrotu. Miał wrażenie, że głęboko we wnętrze wozu wniknął zapach krwi i potu.

Nie jechali dłużej niż pół godziny, ale światła miasta zostały daleko w tyle. Kova już nie wątpił, że Denbe zamierza go sprzątnąć. Samochód stanął, Kova przesunął się na stronę, z której go wsadzili. Stalową bransoletkę kajdanek trzymał częściowo

ukrytą w dłoni, jej wypukłą część uchwycił jak prymitywny kastet.

Strażnik wysiadł. Zapachy, dźwięki, wszystko nagle wyostrzyło się, zrobiło nienaturalnie wyraźne. Ciało Kovaa napięło się, zmieniło w doskonale sprawny mechanizm zdolny zareagować natychmiast na najslabszy bodziec.

Kliknął zamek, drzwiczki zaczęły się pomału otwierać. Były opancerzone i grube, dlatego Kova czekał, dopóki nie ukaże się Denbe. Teraz. Wyskoczył z samochodu, nie próbując się kryć, z całą siłą uderzył mężczyznę w twarz, a następnie złapał go i jeszcze w locie zadał dwa kolejne ciosy. Stał z cichym „krak, krak” złamała chrząstki. Obaj upadli, poczuł na twarzy krew Denbego i drobne odłamki kości. Mężczyzna pod nim zwiotczał, Kova zwolnił chwyt i w ostatniej chwili wstrzymał rękę z nożem kierującą się w jego podbrzusze. Denbe był twardszy, niż na to wyglądał. Kolejne dwa ciosy, ostatniemu towarzyszyło młśnięcie rozdieranego ciała.

Powietrze było świeże i chłodne, ptaki spały i cisza wydawała się zupełna. Reflektory oświetlały gęstwinę krzaków i karłowatych drzew. Nieopodal stał częściowo zniszczony płot z palików, a przed nim świeżo wykopany dół. Wszystko przygotowane, grób już czekał. Kova przyglądał się nieprzytomnemu Denbem. Oprócz broni przy boku znalazł jeszcze jedną sztukę w kaburze umocowanej przy kostce nogi.

Mały automatyczny browning. Teraz czekał już tylko, aż ranny się ocknie. Nie spuszczał wzroku z jego twarzy.

Powieka powalonego strażnika drgnęła.

–Dla kogo pracujesz? Dlaczego miałeś mnie zabić? – spytał Kova.

Denbe przestał udawać nieprzytomnego.

–Jestem porucznikiem kontrwywiadu. Otrzymałem rozkaz – zaseplenił.

W bójce dostało się jego przednim zębom.

Dlatego nie stękał ani się nie uskarżał. W rozproszonym świetle reflektorów jego twarz wyglądała jak rozerwany i złożony na pół placek z powidłami.

–Co się działo w tym miejscu, gdzie mnie znaleźliście?

–Mieliśmy rozkręconą pewną akcję, ale wmieszała się do niej tajna policja.

Zamieszanie na całego – odpowiedział Denbe. – Po co mam ci to wyjaśniać? – Wypluł krwawy śluz.

–Powiesz mi, co wiesz, a ja pozwolę ci odejść – Kova zaoferował układ.

–Gówno! – odszczeknął Denbe.

Kova wzruszył ramionami, wstał i skierował kroki w stronę samochodu.

–Dureń jesteś. O wiele większy, niż myślałem – zatrzymał go szyderyczy głos.

Odwrócił się. Denbe celował do niego z małego automatu.

–Nie rób tego – ostrzegł go Kova.

Mężczyzna tylko się wykrzywił, w ustach pokazały się resztki połamanych zębów.

Nacisnął spust. Dało się słyszeć metaliczne kliknięcie. Kova pokazał rękę, w której ukrywał naboje, a potem podniósł służbową broń Denbego i wypalił. Przewidział to prawidłowo, rzeczywiście używali tłumika. Strzał zabrzmiał jak suche kasznięcie.

Wrzucił ciało do dołu i

zasypał, tak jak

zaplanowano dla niego. Wrócił autem do Pragi.

Drogę znał dobrze, choć zabudowa wydawała mu się trochę inna. Zostawił limuzynę na strzeżonym parkingu i zapłacił za dwa dni z góry częścią drobnych, które zabrał Denbem.

Świtało. Potrzebował snu i namysłu, co dalej. Nie chciał pytać parkingowego o nocleg, aby nie zwracać na siebie niepotrzebnie uwagi. Z rękami w kieszeniach chodził po ulicach, dopóki nie zauważył obskurnej fasady hotelu z gatunku tych, których personel nie jest zbyt ciekawski.

W Pradze

Kova siedział w małym bistro z widokiem na ulicę. Na stole miał dzbanek z kawą, którą sobie sam dolewał, i bagietkę z przywiedłą sałatą, z której co jakiś czas odgryzał kęs. Jakikolwiek byłby ten świat, do którego w tak zagadkowy sposób się dostał, tutejsze hotelarstwo nie funkcjonowało wcale lepiej niż w domu.

Nie ruszał się z pokoju przez trzy dni, aby wrócić do sił, a ostatnie popołudnie wykorzystał na zakup niezbędnego ubrania. W starych ciuchach poplamionych krwią, gliną i olejem niepotrzebnie budził sensację. Poszła na to reszta gotówki Denbego i zostało mu dokładnie tyle, ile wynosiła należność za śniadanie. Rewolwer z dziesięcioma nabojami schował do skrytki na dworcu.

Przed sobą miał dziennik wydawany w tej Pradze, „Dzisiejszy Front”. Najpierw szukał wzmianki o incydencie, w którym uczestniczył. Podejrzał, że tocząca się na ulicach walka wraz ze starciami wojskowych lub półwojskowych jednostek nie jest tu rzeczą całkiem zwyczajną. Nie znalazł jednak wielkich nagłówków na pierwszej stronie. Jedyne, na co natrafił, to krótka notatka w lokalnych wiadomościach. Policja kontynuowała śledztwo przeciw grupie przemytników, na których przed dwoma dniami skutecznie zarzuciła

sieci.

–Podać coś jeszcze? – wytrącił go ze studiowania gazety kelner.

Kova rzucił okiem na garść drobnych i ceny potraw.

–Jedno espresso – zamówił, a mężczyzna w umorusanej kamizelce i z kołnierzykiem o barwie zbliżonej do bieli odszedł uspokojony.

Kova wrócił do strony tytułowej. Na honorowym miejscu widniał nagłówek: „Jii Vodiczka protestuje przeciw oznakowaniu Karpensiego w jakiegokolwiek formie”. Podtytuł głosił, że to cios wymierzony w polityczne elity republiki. Obok tekstu zamieszczono zdjęcie Jiiego Vodiczki, uczestnika pierwszej i drugiej wojny europejskiej, weterana legii francuskiej i bohatera ruchu oporu przeciw okupacji rosyjskiej z siedemdziesiątego dziewiątego. Z artykułu wynikało, że teraz jest generałem Organizacji Czeskich Weteranów, a według pewnych doniesień miał być

ponoć w kontakcie z nielegalną organizacją kombatantów, którzy występowali przeciw demokratycznej polityce państwa czeskiego.

Kova wypił świeże espresso, złożył gazetę i przez chwilę przyglądał się ruchowi ulicznemu. Ten świat, choć pozornie tak podobny, był z zupełnie innej bajki niż ta, którą znał. Po ulicach dostojnie sunęły samochody o kanciastych kształtach. Tańsze na oko modele przewyższały rozmiarami luksusowe limuzyny z jego świata, zaś te droższe były większe od amerykańskich wozów z lat sześćdziesiątych.

Ludzie ubierali się bardziej konserwatywnie, niż do tego przywykł, i o ile dobrze zgadywał, do wyrobu odzieży używano wyłącznie włókien naturalnych. Kobiety nosiły mocno obcisłające talię dłuższe suknie z rozcięciami, modne były płaszczyki i rozmaite żakiety; kapelusze chroniły wymyślne fryzury, nieraz dostrzegł też przezroczystą woalkę. Przed oszkloną witryną bistra przeszedł umundurowany policjant, na chwilę się zatrzymał i odwrócił ku ulicy. Kova dostrzegł, że ma dwie sztuki służbowej broni, rewolwer i jeszcze automatyczny pistolet w kaburze z trzema dodatkowymi magazynkami. Przesada, ale nie można było powiedzieć, żeby policja nie dbała tu o bezpieczeństwo.

Godzinę później wyszedł z lokalu i pieszo ruszył w stronę mostu Karola. Może to był inny świat, ale zasady obowiązywały te same: potrzebował informacji, a oprócz tego pieniędzy na życie. Tymczasem miał tylko jeden kontakt, firmę niejakiego Richtera. Zdecydował, że nie pójdzie najkrótszą drogą, ale przejdzie Starym Miastem i obejrzy bulwar nadbrzeżny. Utrzymywał odpowiednie tempo, ani zbyt szybkie, ani zbyt powolne, obserwował okolicę i daremnie usiłował wyłowić z podświadomości, co tu jest nie tak. To znaczy co wygląda szczególnie, wyraźnie inaczej. I nie mógł znaleźć żadnych specjalnych różnic. Zastanowiło go jedynie, gdy zobaczył luksusowo ubraną kobietę w wieku około trzydziestu pięciu lat, w naszyjniku z pereł i z trzycentymetrowymi polakierowanymi paznokciami. Stała obok swojego samochodu, którym przy cofaniu uszkodziła auto innego kierowcy. „Uszkodziła” to był raczej eufemizm, w ocenie Kovaa ponaddwutonowa limuzyna marki Skoda poskładała małego pontiaka

jak harmonijkę. Kobieta paliła papierosa z ustnikiem koloru kości słoniowej i spokojnie czekała, aż ktoś przyjdzie zrobić coś z gruchotem, który tak nieuprzejmie stanął jej na drodze. Gdy Kova przechodził obok, rzuciła mu badawcze spojrzenie, o ułamek sekundy dłuższe od zwyczajnego. Zrozumiał, że wystarczyłoby się zatrzymać i zaoferować pomoc. Ale wiedział jeszcze zdecydowanie za mało i miał pustą kieszeń. Po chwili kobieta już obojętnie przyglądała się innym ludziom. Zza szyby limuzyny patrzył na niego biały pudel, jakby zasmucony tym, że Kova opuszcza jego świat. Ciągle coś mu się nie zgadzało. Ta kobieta nie miała komórki. Przez jakiś czas zastanawiał się, co z tego wynika, ale na razie doszedł do wniosku, że nic.

Na nadbrzeżu, jak zawsze zakorkowanym sznurem samochodów, zwykły ruch rozdarło nagle wycie syren i odgłosy strzelaniny. Nie były to pojedyncze wystrzały, lecz terkot wielkokalibrowych automatów pomieszany z ostrym trzaskiem pistoletów.auta stłoczyły się po bokach, na torowisku tramwajowym pojawił się naraz wóz z potężną maską i dwiema tylnymi osiami. Przypominał ciężarówkę przerobioną na

potrzeby Formuły I. Z tylnego okienka wysokiej kabiny wystawały dwie długie lufy i pluły ogniem. Kova momentalnie przylepił się do filaru w podcieniu. Nadjechał drugi samochód, policyjna tatra z potężnym zderzakiem. Siedzący obok kierowcy policjant prowadził ogień przez mały otwór strzelniczy w przedniej szybie, drugi z tyłu – przez okienko boczne. Seria zerwała tynk nad głową Kovaa. Ciężarówka wyścigowa nagle szybko skręciła w wąską uliczkę, wszystko zasłonił dym palonych gum. Policyjna tatra zbliżała się do uciekinierów, ale któryś ze ściganych trafił w oponę i kierowca stracił panowanie nad wozem. Otarł się przy tym o czerwonego dostawczaka zaparkowanego częściowo na trotuarze. Uderzenie obróciło policyjny samochód, który przeleciał przez chodnik i wpadł prosto do wody. Strzelanina raptownie umilkła, ciężarówka zniknęła między domami. Z wody wydobywało się mnóstwo bąbli. Kova zareagował szybciej, niż zdążył pomyśleć. Zbiegł z ulicy na dół i skoczył do wody. Nie była głębsza niż trzy metry, więc od razu natrafił na dach wozu. Zanurkował głębiej, w mętnej wodzie rozpoznawał po drugiej stronie niewyraźną twarz kierowcy. Otworem strzelniczym i nieszczelnościami wdzierała się do

cabiny woda, jej poziom wzrastał szybko, ale ze względu na napór drzwi nie chciały się otworzyć. Oprócz kierowcy nikt się w kabinie nie ruszał. Coś metalowego otarło się o ciało Kovaa – pistolet, który wypadł strzelcowi z ręki. W końcu woda wypełniła auto, więc mężczyźni mogli spróbować wydostać się na zewnątrz. Nic się jednak nie działo. Kova szarpnął klamkę – nic, zamek się zaciął.

Czuł, że zaczyna mu brakować powietrza. Przepląnął na drugą stronę. Nadal nic. Płuca protestowały rozpaczliwie. Za trzecim razem wreszcie się powiodło. Zdążył jeszcze złapać człowieka z tylnego siedzenia pod pachy, odbił się i razem z nim wynurzył na powierzchnię. Równocześnie w wodzie pojawił się ktoś jeszcze, mężczyzna z głową łysą jak kolano. Rozpoznał kierowcę. Wyciągnął nieprzytomnego na nabrzeże, po czym spojrzał na gromadkę gapiów.

–Lekarz! Potrzebujemy lekarza!

–Tu jestem! – Przez zwartą gromadę przepchał się mężczyzna w popielatym ubraniu i zaczął pospiesznie zbiegać po schodkach. Kova kiwnął głową i skoczył do wody. Udało mu się wyciągnąć nie tylko kierowcę, ale także obu pozostałych mężczyzn. Podczas zderzenia stracili przytomność, więc bez jego pomocy byli praktycznie bez szans.

Zaraz potem świat zwolnił bieg. Kova ocknął się na chłodnych kamieniach, chrapliwie oddychając. Uświadomił sobie, że znalazł się w nieznanym świecie i zachował niezbyt rozsądnie. Ale instynkt to instynkt, nie było co płakać nad rozlanym mlekiem.

–Uratował mi pan życie – stwierdził łysy.

Kova uświadomił sobie dopiero teraz, że mężczyzna leży obok niego i oddycha prawie tak ciężko jak on.

–Nie, sam się pan wydostał – oponował.

–Moich drzwi nie dało się otworzyć, nie uwolniłbym się, gdyby pan nie wyciągnął Patricka. Jestem Krzysztof Barka – powiedział, wyciągając rękę.

Miał energiczny, pewny uścisk.

–John Kova, John Frantiek Kova. Co tu się właściwie działo?

–Jestem z kryminalnego, a to auto było pełne kontrabandy, piwa przygotowanego do wywozu – skrzywił się Barka. – Mieliśmy pecha.

Kova tylko przytaknął. Ale też mniejszą siłę ognia, dodał w duchu.

Znów wyły syreny, trzy rodzaje. Strażacy, karetka i niewątpliwie policja, odgadywał.

–Byłbym rad, gdybym mógł coś dla pana zrobić. – Barka podniósł się z chodnika.

Utykał na jedną nogę, musiał być po zderzeniu porządnie potłuczony.

–Nie trzeba, ale dziękuję. To był mój obywatelski obowiązek.

Obaj mężczyźni popatrzyli na siebie i jak na komendę wyszczerzyli zęby w uśmiechu.

–Lepszego kawału od lat nie słyszałem! – roześmiał się w końcu głośno Barka.

Chwilę później Kova wykorzystał wszechobecny zamęt i ruszył w dalszą drogę. Nie życzył sobie żadnych wnikliwych pytań. W

butach mu chlupało, zostawiał za sobą mokre ślady, a nowiutka marynarka i spodnie wisiały na nim smętnie. Nikt na niego dwa razy nie spojrzał, jakby przechadzanie się po nabrzeżu w przemoczonym ubraniu należało do miejscowych zwyczajów. Szczęściem słońce już grzało i idącemu szybko Kovaowi zrobiło się ciepło.

Praca

Trzeci z rzędu lokal, który Kova odwiedził, również nie przypominał półlegalnej spelunki, jakiej oczekiwał na podstawie wypowiedzi współwięźnia. Nad wejściem, do którego trzeba było zejść po schodkach pod poziom brukowanej drogi, świecił stosunkowo zwyczajny zielony napis „Pizzeria Kmotr”. Drzwi wyglądały na mocne, nie były ani zaniedbane, ani przeładowane zbytlicznymi ozdobami. Wnętrze przypominało starą stajnię skrzyżowaną z równie starą piekarnią, z tą różnicą, że w boksach nie tłoczyły się konie, lecz turyści siedzący na wąskich drewnianych ławkach, pochyleni nad podłużnymi stołami, zaś w piecu piekł się nie chleb, ale ogromne kręgi ciasta na pizzę. Lada barowa była wysoka i mocna, z kamienia i marmuru. Kova oparł się o płytę i chłonał ciepło ognia. Czuł parowanie mokrej odzieży. Było przyjemnie.

–Zje pan coś? – Oczy kucharza wyglądały jak dwa czarne guziki; ręce miał umączzone i nawet podczas rozmowy nie przestawał formować ciasta.

–Szukam właściciela – odpowiedział Kova. – Jeśli nazywa się Richter.

Mężczyzna przytaknął, wyrzucił ciasto do góry i kuglarskim

trikiem zmienił je w płaski placek, który następnie obrzucił serem i paskami szynki. Kova nie był smakoszem, ale prawdziwą parmeńską szynkę rozpoznał od razu.

–Nie ma go, ale za chwilę przyjdzie. Może pan na niego poczekać, jeśli pan chce.

Kova przytaknął i spojrzał ku najbliższemu wolnemu boksowi.

–Je pan?

Zamiast odpowiedzi skinął głową, a kucharz bez dalszych

rozmów podał mu właśnie upieczoną pizzę. Kelner, który rozliczał rachunek dwojga turystów o niezdrowej cerze, obserwował go z ukosa, ale nawet nie poruszył brwią. Kova chwycił pizzę i pokroił ją ostrym nożem. Potem usiadł i powoli jadł. Była jeszcze lepsza, niż na to wyglądała. Doszedł do wniosku, że ta firma nie była żadną przykrywką dla prawdziwych, tajnych działań. Ludzie wymieniali się tu jak na pasie transmisyjnym, turyści, miejscowi, mnóstwo zabierało jedzenie na wynos. Kucharz, któremu pomagali dwaj inni pracownicy, nie przystawał ani na chwilę; jego ręce tylko migają, nigdy niczego nie robił dwukrotnie, a jeśli miał w dłoni nóż, jego ruchy przypominały koncertowe solo arcymistrza. A przy tym wszystkim umiał doprawdy wybornie gotować, osądził Kova, gdy zjadł ostatni okruszek.

Richter okazał się zażywnym człowieczkiem między pięćdziesiątką a sześćdziesiątką, z rękami pokrytymi brązowymi plamami wątrobowymi. Zanim podszedł do Kovaa, zamienił kilka zdań z każdym członkiem personelu.

–Kto cię przysłał i dlaczego? – zaczął, gdy już się Kovaowi uważnie przyjrzał.

–Nie znam tego człowieka. Tylko jego nazwisko, Kress. Nie dał mi żadnego zlecenia, tylko powiedział, że jeśli chcę pracować, to mam odszukać Richtera – odpowiedział Kova w tym samym duchu. Miał zbyt słabe karty, by blefować. Właściwie nie miał żadnych kart.

–To nazwisko jest rekomendacją. Znają mnie pod nim tylko tacy, którym nie wierzę.

Kucharz stale ich obserwował swym guzikowym spojrzeniem i Kova odniósł wrażenie, że wie, co się dzieje z tymi, którzy nazwisko Richter znają, ale właściciel im nie wierzy. Przywołał w pamięci pierwotną historyjkę o legioniście i zaserwował ją Richterowi, dodając wątek dotyczący przesłuchania i ucieczki. W opowieści zmienił tylko nieco zakończenie.

Richter wszystkiego wysłuchał, a potem kiwnął głową.

–Może to być prawda, ale nie musi.

–A więc kto dziś mówi prawdę? – zapytał Kova.

–Dlaczego jesteś mokry?

–Wskoczyłem do wody. Richter przytaknął. Sięgnął do kieszeni na piersi, a gdy dostrzegł

napięcie we wzroku Kovaa, wyjął rękę bardzo powoli i ostrożnie. W palcach trzymał srebrną papierośnicę. Otworzył ją, poczęstował Kovaa, a gdy ten odmówił, sam wziął krótkie cygaro. Zapalił je od świeczki stojącej na stole i na chwilę zasłonił go obłok ciemnoniebieskiego dymu.

–Czemu skoczyłeś do wody?

–Żeby wyciągnąć z niej kilku ludzi.

–A to ci chrześcijański uczynek – zauważył Richter.

–Można i tak na to patrzeć. Kova był ciekaw, dokąd Richter prowadzi tę rozmowę.

Na razie

był pewny tylko tego, że pizzeria jest zaledwie częścią, prawdopodobnie mniejszą,

jego działalności.

–Ty nie jesteś stąd, przybyłeś z innego świata – rzekł nagle Richter i wbił wzrok w Kovaa.

–Dlaczego pan tak myśli?

–Wszystko w twojej historii zazębia się aż do końca. Byłeś przesłuchiwany przez czarodzieja, który potrafi porządnie grzebać w głowie. To ich podstawowa umiejętność. A kontrwywiad ma dobrych czarodziejów, facet cię właściwie zatrzał. Ale twojej historyjki nie złamał. Mimo wielkiego nacisku, mimo wszystkich mentalnych czarów, które wysyłał przeciw tobie, trzymałeś się stale swego.

Richter wzruszył ramionami i zaprezentował rząd sztucznych zębów w ponurym uśmiechu.

–Są ludzie, którzy potrafią tego dokonać. Wystarczająco odporni, twardzi, z silną wolą. Ale wielu ich nie ma. Jeśli państwo na takiego dziwoląga natrafi, to go zabije. Raczej zamorduje – zmienił ostatnie słowo. – Chyba że wcześniej przeciągną go na swoją stronę.

W ostatnim zdaniu zabrzmiała jawna pogroźka. Kova namyślił się. Było jasne, że wcześniej czy później wpadnie w pułapkę z powodu niedostatecznej znajomości tego świata. Niestety, przytrafiło

mu się to w jednej z najmniej dogodnych chwil.

–A ty myślisz, że pracuję teraz dla kontrwywiadu? – zapytał, przygotowany na to, aby zareagować na jakikolwiek ruch lub rozkaz Richtera.

–Nie. – Mężczyzna wykrzywił twarz w grymasie zadowolenia. – Żaden agent nie próbowałby infiltrować podziemia wyposażony w tak nedorzeczną historyjkę. Ty po prostu naprawdę uciekłeś, a gdzieś w okolicy Pragi przybył kolejny nieoznaczony grób. O jeden więcej czy mniej... – Machnął ręką i wstał.

Podszedł do lady, od pomocnika kucharza wziął karafkę z czerwonym winem, dwie szklanki i wrócił do stołu.

–Przyszedłeś, bo szukasz pracy. Przekonałem się, że jesteś facetem, którego mogę potrzebować. Nie będzie to jednak praca zgodna z prawem tego świata. Najwięcej można zrobić wtedy, gdy się prawo łamie.

Kova przytaknął. Tak samo było przecież w jego świecie.

–Nie zabijam na zlecenie, za pieniądze – rzekł spokojnie.

Richter dał kiwnięciem głowy znak, że przyjął to do wiadomości, i łyknął solidnie.

–Kiedy łamiesz prawo, gonią cię i strzelają do ciebie, a ty musisz robić to samo, jeśli chcesz przeżyć. A w takim razie – podniósł ręce w obronnym geście – to może być po prostu kwestia przeżycia.

Kova uśmiechnął się i podniósł swoją szklankę.

–To co innego. Kto czym wojuje, od tego ginie. A ja nie mam problemu z nasypaniem piasku w tryby napędzające ten świat.

Oczywiście, gdy na tym odpowiednio zarobię. Miejskie więzienie nie jest zbyt przyjaznym miejscem – dokończył z uśmiechem.

–Franku? – zwrócił się Richter do kelnera. – Przynieś nam lepsze wino. Mam nowego pracownika i musimy umowę przypieczętować odpowiednim napitkiem – dodał ciszej. – Ludzie pracują dla mnie z najróżniejszych powodów. W większości dlatego, że dobrze płacę, ale znajdują się i inne powody – rzekł, gdy się napili. – To ich sprawa, ale teraz także i twoja.

–Chcę wrócić do domu – odparł Kova – a sądzę, że będę do tego potrzebował pieniędzy.

–I słusznie, chociaż nie tylko tego.

Poprzez budynek, w którym mieściła się pizzeria, wiódł długi korytarz aż na drugą stronę i wychodził na równoległą ulicę. Dało się z niego przejść na małe, zamknięte podwórko, które z powodu wysokich ścian okalających je domów wywoływało uczucie klaustrofobii. Na podwórzu zaś mieściło się wejście do restauracji, czy raczej gospody, jak uznał po namyśle Kova, gdy rozejrzał się po raz drugi. To pomieszczenie nie było jednak przeznaczone dla klientów, lecz wyłącznie dla pracowników Richtera. Kiedyś musiała to być widocznie luksusowa restauracja, czy raczej nocny klub, ale wyściełane krzesła i kanapy dawno straciły wdzięk, a tapeta wyblakła. Do fortepianu koncertowego ktoś przystawił ciężkie krzesła, a sądząc po kółkach, jakie zostawiły na pokrywie mokre półlitrowe kufle, i zapomnianej siódemce kier, służył obecnie jako prowizoryczny stół

do gry w karty. Najlepiej zachował się szynkwas z pieczolowicie wyczyszczonym mosiężnym okuciem.

Kova naliczył trzech mężczyzn rozwalonych na krzesłach. Każdy z nich trzymał nogi na stole i kołysał trzymanym w ręku kuflem piwa.

Szukał Jerzyka, faceta, który dowodził pierwszą akcją, w jakiej miał uczestniczyć, ale żaden ze zgromadzonych gości nie wyglądał na szefa. Jerzyk? Jak może wyglądać gość z takim przezwiskiem?

Tak rozmyślając, przeszedł w stronę lady barowej. Z kąta przy oknie obserwował go podejrzliwie lekko otyły facet w skórzanej marynarce. Spodnie miał zbyt szerokie, na szyi muszkę, a przed sobą na stoliku – soroban, średniowieczne japońskie liczydło.

W pewnej chwili Kova usłyszał za ladą skrobanie i zanim zdążył się pochylić, aby popatrzeć, skąd dochodzi dźwięk, wynurzył się Jerzyk. W niczym nie przypominał małego ptaszka. Mężczyzna, z grubsza biorąc, wzrostu Kovaa, ale szerszy w ramionach, grubokościsty, z zapadniętymi policzkami i mocnymi, żyłastymi przedramionami. Na przekór swej powierzchowności to właśnie on okazał się mózgiem zgromadzonych tutaj mężczyzn. Wydawał się niebezpieczny, a wrażenia dopełniały sprytne, taksujące oczy.

–Czekaliśmy na ciebie – oznajmił Jerzyk i przyjaźnie się uśmiechnął.

Kova podszedł do ściany z alkoholami i między butelkami z ginem i metaxą znalazł stary bakelitowy telefon, który mógł służyć jako rekwizyt w zapomnianym przedwojennym filmie. A jednak

działał. Albo był tu czarodziej, który umiał czytać w myślach. W tym świecie kilka

rzeczy funkcjonowało inaczej i nie powinien o tym zapominać.

–A więc, panowie!

Jerzyk rozejrzał się po pomieszczeniu, z miejsca niewidocznego dla pozostałych wyłowił kwadratową butelkę Glenfiddich i polał sobie szczerze.

–Dziś wieczorem mamy robotę. Nie chcę nikogo zalanego, więc ostatnie drinki serwuje się właśnie teraz. O jedenastej przejmujemy przesyłkę, sprawdzimy ją, przewieziemy na miejsce przeznaczenia i sprzedamy. Prosta robota za kupę forsy.

–Jeśli pójdzie gładko – zaznaczył mężczyzna z okrągłą twarzą, jeden z trzech siedzących na krzesłach.

–Dokładnie tak, Hugaku. A my będziemy się starali jak cholera, żeby wszystko szło jak po maśle.

–Będzie z tego jakaś gotówka? – odezwał się facet z sorobanem.

–Będzie. I to niemała. – Jerzyk błysnął ku niemu zadowolonym spojrzeniem.

–Wielka kasa czy mała kasa?

–Wielka, panie Siruczi, wielka.

–Nie mam żadnej odłożonej forsy, a przypuszczam, że będę jej potrzebował – włączył się do rozmowy Kova.

Jerzyk mrugnął do niego porozumiewawczo.

–Do każdej pracy trzeba właściwych narzędzi, zgadzamy się?

Sięgnął pod bufet, wyciągnął podłużny kuferek i położył go na stole. Powtórzył to jeszcze trzykrotnie.

Kova zaczął otwierać skrytki jedną po drugiej. Podobał mu się ten Jerzyk. Ważne było, aby dowódca miał ikrę, a przy tym zachowywał ostrożność. A ten wielki, kanciasty mężczyzna takie cechy wyraźnie posiadał.

W pierwszej skrytce znalazł powtarzalny karabin z celownikiem optycznym i skrzyneczkę nabojów. W drugiej trzy rozłożone automaty. Dwa z nich były mu nieznane, trzeci bardzo przypominał czeski karabin wzór 58. Z tą różnicą, że broń wyglądała na nową. W trzecim kufereku były pistolety, rewolwery i noże.

Kova chwilę się zastanawiał. Wiedział, że teraz przechodzi jakąś próbę. Wszyscy go obserwowali i czekali, co wybierze.

–A tu mamy jeszcze jedną skrzynkę. – Jerzyk wyciągnął ostatni kufer.

Kova domyślił się od razu, co znajdzie w środku. Mimo to otworzył. Dokładnie tak jak odgadł – granaty zaczepne z oddzielnie umieszczonymi, nasuwanymi płaszczami metalowymi, które mogły je w sekundę zmienić w obronne.

–Jasne, że może nie pójść tak gładko, ale nie oczekujemy chyba starcia z całą armią, no nie? – Spojrzał pytająco na Jerzyka.

–Mam nadzieję, że z armią nie – wykrzywił się zagadnięty.

Kova wybrał rewolwer kaliber.44 z czterocalową lufą i pistolet

cz. Oprócz tego, że miał drewniane nakładki na bokach rękojeści, niczym nie różnił się od modeli, które znał i którym ufał.

Dodał do tego duży nóż, imitację klasycznego bowie, i składany nóż z czernionej stali.

Jerzyk patrzył na niego zamyślony. Kova wiedział dlaczego. Zwykli faceci najchętniej polegali na pistoletach. Noże brali tylko ci, którzy umieli się nimi posługiwać.

Spotkanie było ustalone na jedenastą, a przyjechali o trzy kwadranse wcześniej, więc niektórzy zaczęli narzekać. John Kova zjawiłby się raczej półtorej godziny wcześniej, ale zachował to dla siebie. Zjechali z autostrady w kierunku Pruhonic i zatrzymali się na parkingu między cichymi o tej porze magazynami hipermarketu. Letnią nocą czuć było zapach drzew owocowych. Niekończący się szum silników aut jadących z Pragi i do Pragi przytłumiło rytmiczne porykiwanie motoru, któremu towarzyszyła poświata reflektorów.

–Kto wybrał miejsce? – spytał Kova cicho, gdy wysiadali z samochodu.

Było ich razem ośmiu, w samochodzie osobowym i ciężarówce przypominającej tatrę 148, poobijanej, ale ze świetnie pracującym silnikiem, możliwością dopompowywania kół w czasie jazdy i kilkoma innymi zdobyczami techniki. Sześciu, nie licząc Siruczego i mężczyzny, który przyłączył się do nich dopiero w bramie garażu.

–Dostawca – Jerzyk potwierdził jego obawy i sam rozejrzał się dyskretnie.

–Gdzie się mam usunąć? Do wozu? – zapytał Siruczi. W jednej ręce trzymał soroban, w drugiej podręczną kasę w formie ciężkiego stalowego kuferka. Pojemnik był przypięty nie do nadgarstka, ale do

pasa. Rękę łatwo można odrąbać, przerzynać trupa – trudniej. Księgowy zadał to pytanie spokojnie i beznamiętnie.

–Do ciężarówki. Do transakcji włączy się pan, gdy zawołamy -zadecydował Jerzyk.

–Rozumiem – przytaknęła Siruczi. Drewniane koraliki liczydła grzechotały, gdy szedł na miejsce.

W tym świecie nie ma komputerów i elektroniki, przyszło nagle Kovaowi do głowy. Albo tylko w bardzo ograniczonym zakresie.

–Jeśli tu ktoś jest, to musi być daleko. Na dachu, z dala od tego parkingu – powiedział mężczyzna, który dołączył do nich jako ostatni.

Kova nie zdążył mu się dotąd przyjrzeć. Miał wrażenie, że w nocnym powietrzu czuje dolatujący od niego stęchły zapach pomieszany ze zbyt słodkimi perfumami. Mógł to być czarodziej, jak tu nazywano ludzi ze szczególnymi uzdolnieniami.

Jerzyk stał zamyślony, dwaj mężczyźni z długimi strzelbami bez wezwania zagłębili się w ciemność. Nie mieli noktowizorów, tylko lunety przystosowane do obserwacji w słabym świetle.

–Przejdę się po okolicy – oznajmił stęchły.

–Pójdę z panem – rzekł szybko Jerzyk. Wyciągnął pistolet i poczekał, aż jego towarzysz obierze kierunek. Kova został sam z resztą gangu. Jeden z nich zapalił papierosa, drugi podrzemywał oparty o maskę wozu, kolejny cicho chodził wokół i rozglądał się.

–Postawmy osobówkę tak, żebyśmy się w razie konieczności mogli schować między samochodami – zaproponował Kova.

Raczej usłyszał, niż ujrzał, ich zaskoczoną reakcję.

–Bez zapuszczania motoru – dorzucił.

Jego pomysł był sprytny, zdawali sobie z tego sprawę. Kierowca odrzucił niedopałek i przydeptał go.

–Dobra, na wykręcenie miejsca jest dość.

Przepchanie wozu do miejsca, w którym w przypadku napaści zapewniał im większe bezpieczeństwo, nie trwało długo.

Jerzyk wrócił wraz z domniemanym czarodziejem po kwadransie. Zmiany nie skomentował.

–Wszystko w porządku.

Czekali dalej w ciszy przerywanej jedynie odgłosem zapalania papierosów i sporadycznym pokasływaniem.

–Co mamy przewieźć? – zapytał Kova, gdy do momentu przewidywanego przyjazdu dostawcy zostało pięć minut.

–M-piwo – odpowiedział niedbale Jerzyk. – Dwanaście hektolitrów modyfikowanego piwa.

Ktoś cicho gwizdnął – Kova poznał Hugaka z okrągłą twarzą i dwoma nożami umieszczonymi, jak zauważył, pod pachami.

Co to jest modyfikowane piwo, nie zdążył zapytać, bo zjazdem z autostrady zbliżał się właśnie samochód. Nadszedł od Ostrawy, a sądząc po prędkości i ostrożności, z jaką kierowca pokonywał zakręty, prowadził ciężarówkę.

Hugak ruszył się pierwszy, po nim pozostali i za chwilę komitet powitalny skurczył się do Jerzyka i Kovaa. Powietrze zdawało się bardziej rzeźkie, każda sekunda coraz cięższa, a głos sowy pójdzki dobiegający z oddali brzmiał bardziej uporczywie. John Frantiek Kova wytarł dłonie, sprawdził, czy broń jest gotowa i czy łatwo wysuwa się z kabur. Zza zakrętu wyłoniła się para oślepiających reflektorów i uchwyciła czekających w swój zasięg. Spuścił wzrok ku ziemi i przymknął powieki, by światło nie oślepiło zupełnie przyzwyczajonych już do ciemności oczu. Kierowca zwolnił, aż w końcu zatrzymał wóz kilka metrów przed nimi. Reflektory wreszcie przygasły, drzwiczki trzasnęły. Było to stare volvo z przedłużoną kabiną, do której mogło się wcisnąć nawet ośmiu ludzi.

Wysiadło ich sześciu, kierowca został na miejscu.

Kova stał spokojnie i obserwował ich.

–Mamy towar, macie pieniądze? – zabrzmiało szorstkie pytanie faceta w cyklistówce.

–Mamy, ale najpierw popatrzę sobie na towar, a potem przekażę forszę – odpowiedział Jerzyk. – Zgoda?

–W porządku, ale żadnych numerów.

Jerzyk ruszył pierwszy, a Kova krok za nim. Wprawdzie

osłaniali ich dwaj strzelcy, ale gdyby coś spartaczono, i tak mieliby minimalne szanse.

Jerzyk zatrzymał się przed schodkami wiodącymi do skrzyni ładunkowej i odwrócił do Kovaa. Ten zamiast odpowiedzi kiwnął głową. Miał go kryć. Odwrócił się, stanął obok lewego koła i starał się odnaleźć w ciemności cokolwiek podejrzanego. Mężczyźni, którzy im towarzyszyli, wyglądali na spokojnych. Jakby wszystko szło zgodnie z planem.

W przestrzeni ładunkowej coś zasyczało, a potem dało się słyszeć bulgotanie i odgłosy połykania.

–To jest M-piwo – oznajmił Jerzyk spokojnie, gdy wrócił. –

Panie Siruczi! Proszę się przygotować!

Bez pośpiechu pomaszerował ku masce tetry. Siruczi wynurzył się z cienia, położył kuferek na masce i po chwili otworzył go z trzaskiem mechanicznych zamków.

Przywódca dostawców wyjął małą latarkę, poświecił do wnętrza kuferka i na chybił trafił wyjął jeden banknot z pliku. Kova w swoim życiu kilka takich kuferków już widział i znając nominał banknotu, zdołał ocenić, ile może się znajdować w środku. Było tu co najmniej dziesięć milionów. Dziesięć milionów za dwanaście hektolitrów piwa. M-piwa, cokolwiek to było.

–Są prawdziwe – stwierdził z zadowoleniem szef drugiej strony.

–Proponuję, żebyśmy waszego kasjera wzięli do siebie, i to z pieniędzmi, jako rękojmię, dopóki nie przeładujecie towaru na swój wóz.

Kufer metalicznie trzasnął, zamki zaskoczyły.

–W kasie jest urządzenie niszczące – przypomniał Jerzyk. – Jeśli nas wykiwacie, pieniędzy nie dostanie nikt.

–Żaden problem, liczymy się z tym. Przeładujcie towar, wasz człowiek wyjmie pieniądze i interes skończony – zgodził się mężczyzna w kaszkiecie.

–Wejdzie z nim jeszcze jeden nasz człowiek – Jerzyk naciskał dalej. – Słyszałem, że w Ostrawie jednemu kasjerowi strzelili w głowę i nie zdążył włączyć mechanizmu samozniszczenia.

–Dlaczego nie – zabrzmiała po krótkim wahaniu odpowiedź.

Kova z Siruczim przeszli na drugą stronę, tam gdzie stali dostawcy. Bez porozumiewania się stanęli tyłem do siebie i czekali. Kova podziwiał zimną krew kasjera.

–Každy umrze tak samo, ktoś wcześniej, ktoś później – rzekł Siruczi, jakby potrafił czytać mu w myślach.

Nagle szcęknął zamek i rozległ się odgłos uderzenia, któremu towarzyszył trzask pękającej kości. Mężczyzna po lewej stronie dowódcy obcego gangu tarzał się po ziemi, powalony przez własnego szefa.

–Spokój! Tylko spokój! Tego debila, który wciąż się bawi pukawką, nie chcę więcej widzieć.

Jerzyk pokiwał głową, że rozumie. Nie wiadomo, kiedy to zrobił, ale trzymał w ręce pistolet. Teraz schował go do kabury, a Kova poszedł za jego przykładem. Nikt na nich przed chwilą nie patrzył.

–Do roboty! – zawołał Jerzyk.

Kierowcy zapuścili silniki i obrócili ciężarówki skrzyniami ładunkowymi do siebie. Pozostali ludzie przy pomocy dwóch stalowych pręseł stworzyli między skrzyniami prowizoryczny most i zaczęli przetaczać beczki z wozu do wozu. Cała operacja nie trwała nawet dziesięciu minut.

–Panie Siruczi? – odezwał się Jerzyk.

Zamek trzasnął, kuferek się otworzył i kasjer wysypał jego zawartość do przygotowanego worka.

–Pieniądze zawsze tak wspaniale szeleszczą, jakbyś głąskał kobietę – zauważył ktoś.

–Zależy jaką i po czym – odpowiedział ktoś inny ze śmiechem.

Napięcie opadło. Kova rozejrzał się, powietrze przyjemnie chłodziło mu czoło. Jeśli coś miałoby się wydarzyć, to właśnie przyszedł TEN moment.

–Jedziemy – zakończył transakcję szef gangu, gdy tylko pieniądze zniknęły w kabinie ciężarówki.

W pięć sekund wszyscy jego ludzie byli w środku i wóz powoli ruszył. Kova pozwolił, aby snop światła prześlizgnął się po nim i wzrokiem skontrolował okna. Rozluźnił się, gdy zobaczył czerwone, tylne światła wozu. Wszystko przebiegło dobrze. Zupełnie nie przypominało to operacji wojskowych, w jakich dotąd uczestniczył. Tu handlujący byli tylko potencjalnymi wrogami, i dotyczyło to obu stron. Uświadomił sobie, że w ostatnich chwilach wstrzymywał oddech, i teraz odetchnął głęboko.

–Jedziemy – odezwał się Jerzyk tak samo jak jego alter ego. –

Pierwszą część roboty mamy za sobą.

Ta uwaga ochłodziła entuzjazm mężczyzn. Rozkaz wykonali w milczeniu i pośpiesznie.

Kłopoty w lasach

Kova siedział w tatrze za fotelem kierowcy i przyglądał się krajobrazowi za oknem, usiłując rozpoznać różnice między tym światem a dawnym, który do tej pory znał. Nie udawało mu się. Figurka laleczki Barbie zawieszona na lusterku

wstecznym huśtała się dziko podczas jazdy, przy każdym kolejnym wahanściu odchylała jej się sukienka i odsłaniała zarośnięte łono.

Kolejna różnica. Takich laleczek, o ile Kova wiedział, w jego świecie nie sprzedawano.

–Co to jest M-piwo? Dlaczego jest takie drogie? – zapytał po sześćdziesięciu kilometrach. Jechali na południe, w kierunku Czeskich Budziejowic.

–M-piwo? – powtórzył Jerzyk trochę zaskoczony, jakby się dziwił, że Kova tego nie wie. – Modyfikowane piwo, wyrabiane sekretnym sposobem z domieszką klapeanu. Trzeba go oczywiście przemycać, bo u nas nie rośnie.

–A czemu jest takie drogie?

–Bo nielegalne.

Kova zamilkł. Albo mu to Jerzyk zechce wyjaśnić, albo nie. Nie

było sensu grać z nim w kotka i myszkę.

–Nielegalne właściwie nie jest, bo to taki szampan między piwami, działa jak afrodyzjak i jest umiarkowanie uzależniająca. Władzom nie przeszkadza nawet to, że ogranicza potencjalne zdolności magiczne konsumenta. Zakazali go, bo przy długotrwałym używaniu czyni ludzi odpornymi na psychiczne ataki państwowych czarodziejów – dokończył Jerzyk. – Nie macie u was M-piwa?

–Nie, ani żadnych czarodziejów.

–A jak przechodzicie od świata do świata?

–Nie przypuszczałem, że istnieją jakieś inne światy, aż do chwili, gdy się tu dostałem.

–Wygląda na to, że twoje życie jest pełne nagłych niespodzianek.

–Ano tak... – zgodził się filozoficznie Kova.

–Kurwa – warknął kierowca. Za zakrętem drogę zamykała policyjna blokada.

–Spokój! – zawołał Jerzyk, zanim kierowca zdążył nadepnąć na gaz lub zrobić coś równie głupiego. – Stań normalnie, a ja to załatwię.

To rutynowa kontrola.

Wyskoczył z wozu, zanim jeszcze ciężarówka się zatrzymała. Kova obserwował, jak Jerzyk pertraktuje z mundurowymi. Nie miał ochoty wdawać się w strzelaninę, ale nie chciał, by go złapali. Natychmiast by go zamordowali lub stracili w egzekucji. Bez różnicy.

Jerzyk wrócił, w świetle lampki sufitowej widać było znużenie na jego twarzy. Może i nie dawał po sobie poznać napięcia, ale ryzyko tej akcji było spore.

–Możemy jechać dalej – oznajmił.

–Mamy jakieś specjalne dokumenty dla tego ładunku? – zapytał Kova z zainteresowaniem.

–Mamy, ale wtedy na pewno chcieliby go obejrzeć. Przekupiłem ich.

–Pieniędzmi?

–Nie, piwem, każdy dostał antałek. Trzy takie wchodziły w skład dostawy jako przynęta dla ciekawskich.

Kova zamyślił się. Takie układy musiały się wiązać ze sporym ryzykiem. Jerzyk był zarówno świetnym psychologiem, jak i twardym graczem. Zysk z tego handlu zależał oczywiście od tego, czy M-piwo dowiezione zostanie do Południowych Czech. Nadal brakowało mu do układanki mnóstwa elementów, ale miał wrażenie, że czas pytań się skończył.

Przejechali przez Tabor, w Czeskich Budziejowicach też się nie zatrzymali. Zboczyli tylko bardziej na zachód. Kovaowi wydawało się, że ludzkie osiedla, które mijali, to same małe wioski. A wiosek, które pamiętał ze swoich dawnych podróży, w ogóle tu nie było. Szumawa i jej okolice to był wielki, prawie nieucywilizowany obszar, a oni zmierzali do jego dzikiego centrum.

–Spustoszyli ten teren przed sześćdziesięciu laty, gdy walczyliśmy z Hitlerem, a potem jeszcze bardziej, trzydzieści lat później, w czasie wojny z Ruskami. Tych milionów ludzi nadal

brakuje – powiedział Jerzyk obojętnie.

Za kilkoma chałupami oznaczonymi dumnie tablicą jako miasto Kasperskie Góry napotkali autostopowicza. Machał do nich

pomarańczowym światełkiem trzymanym w dłoni. Kova zadał sobie pytanie, jak ten ma zamiar wyjaśnić patrolowi policyjnemu, że zebrało mu się na autostop o wpół do trzeciej nad ranem, ale to nie było jego zmartwienie.

Mężczyzna wszedł i wyrzucił z siebie coś szybko po niemiecku. Ubrany był w maskujące spodnie, opinacze, a pod kurtką nosił sportowy sweter.

Rysy twarzy Jerzyka stwardniały po wysłuchaniu wiadomości.

–Zawracamy. Gdzieś nastąpił przeciek. Kupca nie ma w umówionym miejscu i posłał do nas tylko swojego człowieka.

Kierowca przyhamował i na nic się nie oglądając, zawrócił na wąskiej jezdni. Przejechał przy tym przez pobocze oddzielające drogę od krzaków rosnących na skraju lasu, który ciągnął się wzdłuż drogi. Dla dwunastotonowej ciężarówki było to tyle co nic.

–Zwolnij – rozkazał Jerzyk, gdy znów przejeżdżali przez Kasperskie Góry.

Prawie równocześnie otworzył drzwiczki i bezwzględny ruchem wyrzucił niemieckojęzycznego przewodnika na zewnątrz.

–Szcwany lis – powiedział do mikrofonu nadajnika, kiedy znów przyspieszyli.

–Rozumiem – odezwał się głośnik.

Kova z miejsca pojął, co oznaczało zakodowane hasło. Ich towarzysze jadący z tyłu, w osobowym aucie, dostali rozkaz zniknięcia i przyczajenia się. Spojrzał na Jerzyka z uznaniem, facet postępował sensownie i właściwie, z korzyścią dla ludzi, którymi dowodził.

–Depnij no – usłyszał kolejny rozkaz. Dwunastocylindrowy silnik rozjęczał się, strzałka szybkościomierza drgała w okolicy setki. Jechali w milczeniu, każdy zatopiony w myślach. Przeskoczyli przez wzniesienie, ciemny horyzont rozbłysnął kilkoma światłami wioski, następny pagórek był już blisko przed nią. Nagle mignęła zaporą, noc rozkwitła blaskiem reflektorów.

–Kurwa, mają nas – zaklął kierowca. Targnął kierownicą i nagle pędzili przez łąkę w ciemną pustkę.

–Możecie wyłączyć tylne światła? – zasugerował Kova.

Zamiast odpowiedzi kierowca sięgnął ku wyłącznikom. Tatra wspinała się pod górkę, podskakiwała, ryczała silnikiem, przedzierała przez pas zarośli oddzielający łąki, przebijała przez koryta potoków. Kova trzymał się uchwytu i zaciskał zęby, żeby nie ugryźć się w język. To była najbardziej piekielna jazda, jakiej kiedykolwiek doświadczył. Jazda po życie. Naraz przed samochodem otworzył się dół, ciężarówka się zatoczyła. Już wyglądało na to, że upadnie na bok, ale kierowca jakimś cudem zdołał wyrównać. I znów jechał wprost ku skrajowi ciemnego lasu.

Kova był gotów wyskoczyć, ale uświadomił sobie, że nie siedzi w małym terenowym humvee, tylko w dwunastotonowym kolosie. Z ciemności wyłoniły się pierwsze drzewa.

–Jeśli to jest prastary bór, to mamy pecha – burknął Jerzyk.

–Nie, on tu rośnie dopiero od ostatniej wojny – odparł kierowca.

–Trzymajcie się!

Drzewa trzaskały, wóz na przemian to zwalniał, to przyspieszał, w miarę jak dwie wahlowe półosie łapały przyczepność lub ślizgały się na leśnym poszyciu. Nagle drzewa się przerzedziły i reflektory wychwyciły szarą wstęgę żwiru.

–Stara przemytnicza ścieżka – burknął kierowca z zadowoleniem. Zwolnił i zgasił wszystkie światła prócz małego reflektora szperacza. – Może damy radę.

Ujechali zaledwie pół kilometra, gdy nagle zacharczał, złapał się za kark i wymiotował na deskę rozdzielczą. Jerzyk w ostatniej chwili wyrównał kierownicę i zahamował.

–Mają go w aktach – wyjaśnił Kovaowi bez pytania. – Złapali któregoś z naszych, ten im zdradził nazwiska i zorientowali się, że Rodericka już kiedyś trzymali w swoich łapach. Jakiś zasrany czarodziej już na nim umieścił swoje psychiczne piętno. A musi być cholernie dobry, jeśli potrafi to zrobić bez dokładnej lokalizacji i na taką odległość.

–Mogę prowadzić – zaoferował się Kova.

–Oni wiedzą, gdzie on się teraz znajduje. – Jerzyk wskazał na powalonego mężczyznę, ciężko łapiącego oddech.

W kabinie było ciemno, skąpe światło wskaźników zmieniało ich tylko w niewyraźne kształty. Kova popatrzył na Jerzyka i na Rodericka.

–Prawdziwy cwaniak by go tu zostawił – rzekł tylko przemytnik, błyskając zębami.

–Ja należę do tych głupich – odpowiedział Kova. – Mówią mi to przez całe życie.

–Ja też.

Opuszczona ciężarówka stała na wąskiej leśnej drodze jak ranny słoń. Na siedzeniach cicho postękiwał mężczyzna ze związanymi rękami, podwiązana szczęką i patykiem wsadzonym między zęby, żeby podczas nawiedzających go ataków nie zrobił sobie krzywdy.

Kova pierwszy spostrzegł blask, światło przedzierające się przez kolumnadę milczących drzew, a po chwili usłyszał odgłos silnika. Niedaleko płynął potok, którego szum przeszkadzał mu w określeniu, ile dokładnie się zbliża pojazdów. Na niebie zapłonęła raca, szara, pylista droga wynurzyła się na chwilę z ciemności. Kova wcisnął głowę w miękkie igliwie. Flara, to mógł być sygnał dla strzelców. Nic się jednak nie stało.

Pierwszy pojazd wyjechał spośród drzew, za nim kolejne, a potem jeszcze jeden. Wóz na czele był co najmniej transporterem opancerzonym, sądząc po rozstawieniu reflektorów. Gdyby to był jeden ze starszych typów, to miałby na wyposażeniu dwa

kaemy 14,5 i 12,7 milimetrów i mieścił w środku drużynę uzbrojonych po zęby chłopów. Może wraz z Jerzykiem porwali się z motyką na słońce, pomyślał Kova chmurnie.

Obawy okazały się słuszne. Pierwszy zatrzymał się transporter, wyskoczyło z niego sześciu ludzi, lufy kaemów w wieżyczce przepatrywały okolicę. Światło reflektorów znalazło się blisko, Kova skulił się i instynktownie wstrzymał oddech. Gdyby go spostrzegli,

sekundę później kule zmieniłyby go w krwawą siekaninę. Jednak nie dostrzegli, był tego pewien, lecz zmroziła go sama możliwość.

Za transporterem zatrzymały się dwa dżipy. Wojskowe dżipy, poprawił się. Dwie lekko opancerzone maszyny, ta z tyłu z obrotowym lekkim kaemem na dachu. Wyskoczyło z nich ośmiu kolejnych mężczyzn, a sądząc z tego, jak się zachowywali, byli to dowódcy różnych stopni.

–Leży w samochodzie – odezwał się najniższy wzrostem.

A, jest i czarodziej, pomyślał Kova i stłumił chęć natychmiastowego zastrzelenia go.

–Mamy go zabić, panie? – zapytał żołnierz, gdy wyciągnął Rodericka z tatry.

–Głupku! – syknął władczo brzmiący głos. – Kto jest ekspertem od przesłuchań w waszej drużynie?

–Morim, panie.

–To niech przygotuje sprzęt.

–Zostawili go tu i zniknęli, przeszukaliśmy najbliższą okolicę, nigdzie nikogo nie ma – zameldował inny żołnierz.

Kova zdołał rozpoznać w świetle reflektorów, że facet miał mundur maskujący i hełm z siatką, za którą zatknął gałązki. W ręce nie trzymał zwykłego karabinu, lecz coś znacznie nowocześniejszego, z podwieszanym miotaczem granatów.

Sytuacja wyglądała coraz gorzej. Teraz już na pewno nie zdołają z Jerzykiem przełknąć kęsa, który chwycili w zęby.

Morim był wysokim mężczyzną, wąskim w ramionach, na twarzy błyszczały mu okulary. Przybiegł klusem z małym, kanciastym kuferkiem w ręce.

W tym świecie prawa więźniów okazywały się zwykłą hucpą.

Morim rozesłał na ziemi płachtę, na której ułożono Rodericka.

Może postępują dokładnie według instrukcji dotyczącej torturowania jeńców, rozmyślał Kova.

Plan, który wymyślili z Jerzykiem, był bardzo ogólny, ale innego na razie nie dało się opracować. Jedno nie ulegało wątpliwości – za wszelką cenę muszą zabić czarodzieja. Strzelać powinien ten, który będzie pewniejszy celu. Potem musiał ściągnąć na siebie jak najwięcej sił nieprzyjaciela i szybko zwiewać. W tym czasie drugi miał się zająć Roderickiem.

–Auto jest pełne kontrabandy, panie, stalowe beczki ze znakiem browaru Radegast. Do naszych pojazdów ten towar nie wlezie.

–Na południowych Morawach są największe ośrodki produkcji M-piwa. Ci

węgłożercy niczego się nie boją. – Jeden z oficerów splunął.

–Policzcie beczki, dwóch ludzi będzie pilnować ładunku.

–Rozkaz, panie.

Głowa małego czarodzieja, który miał niepotrzebnie aż tak

długie, niechlujne włosy, rysowała się ostro na tle oświetlonej reflektorem

karoserii samochodu. To był pewny strzał. Sądząc po sylwetce, gość nosił oczywiście kamizelkę kuloodporną i Kova, nie chcąc ryzykować, celował prosto w łeb. Zanim jednak nacisnął spust, mężczyzna pochylił się nad jeńcem.

Roderick zadrgał spazmatycznie i mimo że miał zatkanie usta, wydał z siebie skrzek, który wstrząsnął Kovaem. Skrzek, jaki może wydać ktoś, kto umiera.

–Weźcie go w obroty – przykazał czarodziej. – Już go

napocząłem i dużo mu nie potrzeba. Niestety, nie umiem obchodzić

się z bólem z takim wyczuciem jak wy. Ja umiem sprawić tylko jak największy.

Kova stłumił przekleństwo. Żołnierz zasłonił teraz czarodzieja swoim ciałem.

Gdyby miał pełnopłaszczową amunicję, może by zaryzykował, licząc, że nabój przejdzie przez kamizelkę. Gdyby, życie było pełne podobnych gdyby.

–Rozwiążcie go, żeby mógł mówić. I nie oszczędzajcie go, w

końcu o nic nie pytamy niepotrzebnie! – zawołał oficer.

W szarówce błysnął ząbkowany nóż. Roderick zaryczał po raz drugi, tym razem jednak tylko z lżejszego, zwyczajnego bólu.

Czarodziej stanął, spojrzał badawczo gdzieś w cień, jego profil był przez chwilę zupełnie wyraźny. Zanim Kova zdążył wycelować, huknął strzał, rozczochrana głowa drgnęła. Twarz pozostała nieporuszona, ale potylicą z połową czaszki zniknęła w ciemności. Drugi strzał i jeszcze jeden, kolejni mężczyźni padali na ziemię, a jeden z nich był z pewnością martwy.

–Sierżancie, zlikwidujcie tego gnoja! – krzyknął ktoś.

–Buck, Trim, Gary, Fin! Naprzód, za mną! Kova obserwował, jak pięciu mężczyzn czołga się przez

najgęstsze zarośla na skraj drogi i stopniowo rozwija w wachlarz.

Niestety, nie wolno mu było się mieszać.

–Pospieszcie się! – pogańiał przełożony swoich ludzi. Ekspłodował granat.

–Buck nie żyje! Spiesz się powoli, przyszło Kovaowi do głowy, trochę złośliwie.

Jerzyk się ujawnił, realizował swoją część planu; musiał liczyć na siebie.

–Wszyscy ludzie oprócz strzelców w wieżyczkach, do akcji!

Zabił Krachmana, musicie go dostać!

Głos oficera, który stwierdził definitywnie, że czarodziej jest martwy, był pełen złości.

Kova poczekał, aż żołnierze przebiegną przez drogę do lasu. Dla Jerzyka przyszły teraz ciężkie chwile. Kova przywołał w wyobraźni ką ustawienia luf obrotowych kaemów, zakres widoczności z wieżyczki i zaczął powoli przesuwając się ku przodowi taty, chociaż przybliżał się tym sposobem do żołnierzy goniących Jerzyka. Miał

nadzieję, że będą daleko. Rewolwer wymienił na nóż. Czas na cichą robotę.

Ostrożnie, krok po kroku zbliżał się do stojącego samotnie dowódcy. Oficer, choć był chroniony przez ciężki kaem wozu opancerzonego, wydawał się zdenerwowany faktem, że został sam w ciemności. Kova słyszał, jak się nerwowo obraca, to w jedną, to w drugą stronę. Źle, że się tak wierci, pomyślał.

Przypadł do ziemi i w bezruchu, bardziej słuchem niż wzrokiem kontrolował sytuację. Po nocnym lesie niósł się terkot automatów, pojedyncze okrzyki, wybuch granatu. Roderick zajęczał głośnie, dowódca podszedł do niego i kopnął w żebra.

–Ty bękarcie, masz przesrane. Powiesz nam wszystko, nawet to, czego nie wiesz. Drugi kopniak.

Ten akt przemocy wobec związanego jeńca nieco go uspokoił. Zadowolony przechadzał się wzdłuż kabiny samochodu. Kova znów zaczął pełznąć, zatrzymał się przed żebrowaną osłoną chłodnicy tetry. Ostrożnie wstał i przywarł do ciepłej jeszcze blachy. Teraz czekał już tylko na to, żeby mężczyzna się przybliżył, zatrzymał tuż obok niego i zrobił w tył zwrot.

Łożyska wieżyczki wozu opancerzonego lekko hałasowały, kiedy siedzący w niej żołnierz obserwował cały sektor. Szybki doskok, ręka na usta, pchnięcie w nerkę i obrót ostrza. Oficer nie wydał żadnego dźwięku, a Kova położył go delikatnie na trawie. Wydawało mu się, że strzelec musi poczuć zapach krwi i śmierci, tak silny i dojmujący na tle aromatów lasu. Lecz to tylko zmysły go zwodziły, zmysły, które wyostrzyły do maksimum napięcie ostatnich chwil. Częściowo był to dar matki natury, kombinacja genetyczna, która z pewnych mężczyzn czyni skutecznych drapieźców, częściowo zaś wynik długich lat praktyki, gdy od dokładnego postrzegania i skupiania uwagi aż nazbyt często zależało jego życie i życie ludzi, którymi dowodził.

Wytarł nóż o mundur zabitego i znów zaczął rozważać, czy zdoła się z Roderickiem oddalić niepostrzeżenie. Nie chciał po raz kolejny zabijać, ale innej możliwości nie widział, transporter z dwoma kaemami był zbyt niebezpieczny, mógł ich skosić jedną serią. Podczołgał się, tym razem w kierunku drzwiczek desantowych dla piechoty.

Ostrożnie, aby nie zdradził go najcichszy nawet dźwięk, wślizgnął się do transportera.

Do wnętrza nie dochodziło żadne światło, poruszał się w zupełnej ciemności. Na szczęście znał tę maszynę i miał nadzieję, że i w tym świecie zaprojektowano ją tak samo.

W chwili gdy, jak sądził, powinien znajdować się w połowie drogi do strzelca w wieżyczce, ciemność zrzędała do szarej czerni i pojawiły się światłocienie. Droga najeżdżały wozy z zapalonymi reflektorami. Spostrzegł, że żołnierz odwrócił lufy kaemów w ich kierunku. Mundur maskujący strzelca był na lewym kolanie rozdarty, z cholewy wystawała rękojeść noża.

Kova położył się na podłodze i wsunął pod ławkę przeznaczoną dla piechociarzy. Blask stawał się coraz intensywniejszy, ciszę zastąpił warkot motorów. Sądząc z

tego, co słyszał, hałasowały trzy wielkolitrażowe silniki sześciocylindrowe.

Pierwszy dżip stanął tak blisko, że jego światła oślepiały, odbijając się od wewnętrznych ścian transportera.

–Tu pułkownik Hohnstoff! Kontrwywiad! – ryknął ktoś, a Kova poznał ten głos. Należał do pewnego siebie faceta, który go pilnował w szpitalu i rozkazywał tym dwóm gorylom, Grabusowi i Denbemu.

W tej operacji coś wyraźnie zgrzytało, a były kapitan John Kova miał za sobą dosyć lat służby w armii, aby się zorientować, że chodzi o kwestie wyższych kompetencji.

–Chcę mówić z najwyższym rangą oficerem dowodzącym!

Na wezwanie pułkownika nikt nie zareagował. Kova wiedział dlaczego: musiały to być znacznie dziwniejszy świat, żeby trup z przedziurawioną nerką odpowiadał na rozkazy.

–Kapitanie Mauhausi! Przejmuję dowództwo tej operacji! Mam rozkazy prosto ze sztabu generalnego!

Tym razem też nikt Hohnstoffowi nie odpowiedział. Kova widział, jak żołnierz w wieżyczce nerwowo przestępuje z nogi na nogę.

Motory wytrwale warczały, ich kłótnie o kompetencje nie dotyczyły.

–Przejmuję dowództwo tej operacji! – ryknął znów Hohnstoff. –

Wszyscy ludzie mają się zameldować u mnie.

–Tu dziesiątnik Karnik! – krzyknął żołnierz z wieżyczki. –

Opuszczam pozycję i zaraz jestem u was, panie!

Kova wyrzwał, żeby zobaczyć, jak dziesiątnik przeciska się wąskim włazem z wieżyczki do ładowni dla piechoty. W chwili gdy przygotowywał się do zeskoku, Kova zerwał się błyskawicznie, złapał go za buty i pociągnął. Głowa zadudniła o metal, a zaraz potem nieprzytomny żołnierz zwałił się na podłogę.

–Co to, do cholery, jest! Zabezpieczyć wnętrze! – zawołał

Hohnstoff w reakcji na niespodziewany odgłos.

Kova zdawał sobie sprawę, że ma najwyżej trzy sekundy. Jedna wystarczyła, aby znalazł się za spustami kaemów, druga, żeby się zorientował co i jak, a na początku trzeciej już otwierał ogień. Systematycznie i równomiernie walił w teren za transporterem, najwięcej uwagi i pocisków poświęcając trzem dżipom. Nie zapominał też omiatać strzałami okolic aut, gdzie mogły się kryć załogi. Strzelać przestał dopiero wtedy, gdy taśma nabojoya się skończyła, a z trzech wozów zostały sterty postrzępionych blach. W końcu znów nastała cisza i tylko reflektory transportera oświetlały scenę totalnej ruiny. Kova nie czekał, wyskoczył z wozu, przetoczył się przez ramię i schował w gęstwinie. Nikt do niego nie strzelił. Albo wszyscy byli martwi, albo mieli pełne portki. Jego atak był zupełnie niespodziewany, a z doświadczenia wiedział dobrze, jak takie coś łamie morale. Bez zwłoki wrócił do tatyry. Wziął Rodericka na plecy i ciężko kłusując, zniknął między drzewami. Wiedział, że jego zwycięstwo było tylko tymczasowe. Strzelanina musiała

zaalarmować goniących Jerzyka prześladowców. Część z nich oczywiście zawróci.

Leśni ludzie

Poruszanie się w nocnym lesie z bezwładnym Roderickiem na ramieniu niemal graniczyło z cudem, a każdy krok oznaczał ryzyko zwichnięcia kostki lub poszarpania twarzy przez sterczące gałęzie. Na szczęście po kilku wyczerpujących minutach potykania się Kova natrafił na ścieżkę. Wokół siebie nadal nic nie widział, ale prowadził go cienki pas jaśniejszego nieba nad głową. Po trwającym w nieskończoność, jak się zdawało, marszu zatrzymał się wyczerpany i oparł o drzewo. Nie czuł pleców ani ramienia, oddychał głośniejsz, niżby sobie życzył. Niesienie rannego wcześniej czy później staje się piekłem.

John Kova zacisnął zęby i ruszył dalej. Jeszcze kawałek po ścieżce, a potem z niej zejdzie i ukryje się gdzieś do nadejścia świtu. A następnie zależnie od sytuacji zdecyduje, co dalej. Nie chciał się zapuszczać w ciemną gęstwinę lasu, ale w końcu postanowił, że tak będzie lepiej, i znów karkołomnie potykał się po tej drodze nie drodze. Sto kroków, to musiało wystarczyć, osądził i ostrożnie położył Rodericka na ziemi.

Ranny nie jęczał, cały był zesztywniały i nie reagował na słowa ani dotyk. Kova nałamał gęstych świerkowych gałązek i ułożył na ich warstwie bezwładne ciało, a potem kilkoma przykrył. Sam usiadł

obok, wyciągnął z kieszeni energetyzujący batonik i pomału go zjadł. Zasnął na siedząco, oparty o drzewo.

Obudził się zboląły, ale wiedział, że dzięki ruchowi poczuje się lepiej. Słońce jeszcze nie wzeszło, a pod koronami drzew nie dało się stwierdzić, czy niebo będzie czyste, czy zachmurzone. Iść dalej przecież jeszcze mógł. Rozłożył mapę Szumawy i znalazł miejsce, gdzie zaskoczyli ich żołnierze, jeśli to naprawdę byli żołnierze. Musiał odejść jak najdalej stamtąd, a potem przede wszystkim wyjść z dzikiej głuszy. I to z Roderickiem. Spojrzał na kompas w rękojeści noża. Był niedokładny, zbędna zabawka, ale teraz mógł się przydać.

–Słyszysz mnie? – zapytał i pochylił się nad Roderickiem. Mężczyzna nie spał i odpowiedział ruchem oczu.

–Możesz mówić? Odpowiedź przecząca.

–Ruszać się? Następne zaprzeczenie. Kova ukląkł, założył go sobie na ramiona i ostrożnie stąpając,

ruszył w kierunku południowo-zachodnim. Bez zatrzymywania się zdołał przejść tysiąc siedemset pięćdziesiąt dwa kroki, ale później musiał odpocząć.

Na przerwę wybrał dołek między dwoma szczególnie okazałymi świerkami. Zagłębienie prawdopodobnie pozostało po korzeniach trzeciego olbrzyma, teraz już tylko rozpadającej się masie butwiejącego drewna. Tymczasem niebo pojaśniało, chociaż słońce skrywało się za zasłoną nisko wiszących, szarych chmur. Deszcz był nieprzyjemny, lecz nie stanowił przeszkody, wręcz przeciwnie. Najlepsza byłaby dzika burza, oberwanie chmury, ulewa, która zatarłaby ślady.

Nagle Kova odniósł wrażenie, że nie jest sam. W chwili gdy namacał rękojeść rewolweru, spoza pni wynurzył się mężczyzna w stroju maskującym. W prawej ręce niedbale trzymał myśliwską gwintówkę, palec wisiał tylko kawałeczek od spustu.

Trzymał broń wycelowaną gdzieś w bok, ale wnioskując z tego, jak umiejętnie manipulował ciężką strzelbą, Kova zrozumiał, że w razie kłopotów to nie on będzie szybszy.

Zostawił broń w kaburze i w milczeniu patrzył na nadchodzącego mężczyznę. Krótka broda, niebieskie oczy w siateczce zmarszczek. Na dłoniach rękawiczki z palcami. Tak jak i Kova, gość nosił za pasem ciężki nóż, a raczej maczetę.

–Wy dwaj jesteście z tego auta tam na dole. – Pokazał niedokładnie w kierunku północno-zachodnim.

–Tak – odparł Kova. – Są już tam żołnierze?

Ten facet nie należał ani do policji, ani do kontrwywiadu, nie wyglądał też na wojskowego. Zachowywał się ze zbytnią swobodą i pewnością siebie.

–Przyjechały dwa oddziały, dwa razy po trzydziestu ludzi, i dogadują się w sprawie kompetencji. No i tego, gdzie zniknęła kontrabanda – dodał z uśmiechem. – Możesz go jeszcze kawałek ponieść? – Wskazał na Rodericka.

Kova spostrzegł, że jego kompan był już w stanie lekko poruszyć głową.

–Mogę.

–Trochę dalej mam domek myśliwski, przeczekamy tam, aż się uspokoi.

Mówił to z taką oczywistością, jak gdyby mieli się schować przed brzydką pogodą, a nie przed sześćdziesięcioma uzbrojonymi po zęby ludźmi.

Kova nachylił się nad Roderickiem.

–Odwiedź jakiegoś dietetyka. Dobrze by było, gdybyś ważył o parę kilo mniej.

Domek myśliwski był w rzeczywistości ziemianką wpasowaną w strome zbocze pagórka położonego nad ponurym bagniskiem. W środku niewidocznego z zewnątrz budynku czekało na nich świeże powietrze, czysta podłoga wyłożona płaskimi kamieniami, stół i cztery wygodne łóżka. W głąb pagórka prowadziły znajdujące się w pomieszczeniu drzwi, ale teraz były zamknięte.

Brodacz usiadł na łóżku, strzelbę odłożył na stół i na małej kuchence gazowej zaczął gotować wodę.

Bez pytania nasypał kawy do trzech powgniatanych blaszanych kubków.

–Czekamy na kogoś jeszcze?

–Na pułkownika, bez niego by nas znaleźli, ja nie jestem czarodziejem.

Kova nadal nie wiedział, co to za jedni, ale był pewny, że jeśli chodzi o ukrywanie się przed państwowymi siłami, mają duże doświadczenie. Woda jeszcze nie zaczęła się gotować, gdy zza drzwi doleciał szmer. Kova, widząc, że gospodarz zachowuje spokój, nie dotykał broni.

Drzwi otworzyły się bezszelestnie i do ziemianki wszedł stary mężczyzna w wyblakłej wojskowej furażerce. Sądząc po rysach twarzy, miał dobrze ponad osiemdziesiąt lat, poruszał się jednak jak sześćdziesięciolatek, a u jego boku wisiał

nowoczesny karabin szturmowy. Była to pierwsza broń z plastikową kolbą, jaką Kova tu widział.

–To wszyscy, których zebrałeś? – zapytał gość bez pozdrowienia.

Brodacz przytaknął.

–Ostro ich gonią. Mają tu dwóch czarodziejów pierwszej klasy, a z Pragi przyjeżdżają inni specjaliści. Szykuje się długie wyczekiwanie.

–Pułkownik Vermirowski. – Starzec odwrócił się do Kovaa. – Należę do Armii Czechosłowackiej. Mam na myśli dawną Armię Czechosłowacką, tę, która spuściła łanie Hitlerowi i zlikwidowała jego plantacje hyuaki. Niestety... – pułkownik zamilkł w pół zdania i ciężkim krokiem podszedł do stołu. Wysypał na blat cukier z cukiernicy. Sypka powierzchnia natychmiast uformowała się w nieregularne, wolno zmieniające kształt fale. – Szukają was i chcą was dostać za wszelką cenę – powiedział, gdy ruch cukru ustał.

Gdy jednak Kova przypatrzył się uważnie, zobaczył, że jakiś kryształek przesuwa się tam i z powrotem, na przekór grawitacji. Wyglądało to tak, jakby cukier tworzył miniaturową puszcę, z wolna poruszaną podmuchami wiatru. Potem wiatr zmienił się w huragan i cukier zaczął chaotycznie wirować, przesuając się falami z jednej strony stołu na drugą.

Vermirowski pozostał na miejscu z blaszanką kawy w ręce i nie pił, dopóki sytuacja się nie uspokoiła.

–Nie jestem tutejszy i nie wszystko rozumiem – przyznał się Kova w przerwie, która nastąpiła.

–Przewidywaliśmy to. – Vermirowski siorbnął z kubka. – Wystygła, cholera. Dla was ważne jest to, że wam pomagamy. O reszcie pomówimy później.

–O czym pomówimy? – nie rozumiał Kova.

Stary mężczyzna znów zmagał się z mocami policyjnych i wojskowych czarodziejów, więc nie odpowiedział od razu.

–O handlu – odrzekł zamiast niego brodacz. – Kupimy te dwanaście hektolitrów piwa, oczywiście ze zniżką, ze względu na sytuację. I będziemy zainteresowani następnymi dostawami.

–Kurwa, już myślałem, że nigdy się nie pozbiaram – przemówił nagle Roderick.

Brodacz rzucił mu krótkie spojrzenie.

–Bez obaw. To zwyczajne obezwładnienie, które mija, gdy czarodziej umrze. Oczywiście ten, który był podłączony do pana umysłu. Za kilka dni zapomni pan o tym.

Czarodziej umrze. Kova rozważył te słowa. Osobliwi mieszkańcy lasu prawdopodobnie zabili kilku czarodziejów i teraz dysponowali choćby częścią ich niespotykanych uzdolnień parapsychologicznych. Utrzymywali też dyscyplinę wojskową i, co oczywiste, należeli do o wiele większej organizacji. Nielegalnej, ma się rozumieć.

Volary były wioską zbudowaną na ruinach opuszczonego miasta. Stare budynki dawno już zamieniły się w opuszczone zwaliska, miejscowi używali gruzu jako źródła materiału budowlanego. Pozostałości nawet i trzy piętrowych domów wskazywały, że czas rozkwitu miasta skończył się jakieś pięćdziesiąt lat temu. Kova przywykł już do tego, że im dalej od centrum, tym bardziej miejscowe realia różniły się od tych, które znał. Na stacji końcowej stał jedyny pociąg z przyłączoną do niego lokomotywą parową. Nie była to maszyna wygrzebana z muzeum. Błyszcząca powierzchnia i staranne wykonanie świadczyły, że została stworzona przy użyciu nowoczesnej technologii, i to niedawno. Po peronie przechadzał się tam i z powrotem umundurowany żołnierz. Sądząc po tym, jak wiele uwagi poświęcali mu miejscowi i kilku turystów, pojawił się tu całkiem niedawno.

Mijając go, Kova walczył z chęcią sięgnięcia po broń. Udawać zwyczajnego cywila było trudniej, niż iść na akcję w Hondurasie. Z tego, co wiedział, nie zrobiono mu zdjęcia w więzieniu. W lewej kieszeni marynarki nosił doskonale, zdaniem Vermirowskiego, podrobione dokumenty na nazwisko Frantiek, a w prawej dokumenty i legitymację służbową Denbego. Ze względu na to, że nie było tu komputerów, zaś śmierć agenta zapewne jeszcze nie wyszła na jaw, mogły mu się one bardzo przydać. Żołnierz minął go bez zainteresowania. Kova wskoczył do jednego ze środkowych wagonów i usiadł na ławce.

Pociąg ruszył, za oknami przesuwiał się krajobraz bardziej zalesiony i dziki, niż pamiętał. W jego świecie tu, na Szumawie, mogło tak wyglądać gdzieś w późnym średniowieczu. Teraz już wiedział, jak to się dzieje – pułkownik Vermirowski przekazał mu mnóstwo informacji.

O ile John Kova zdołał ocenić, w dawnych czasach ten świat był o wiele bardziej podobny do jego własnego. Ameryka została wprawdzie odkryta aż o pięćdziesiąt lat później, Bastylię zdobyto nie w 1790, lecz w 1812 roku, ale to wszystko były nieistotne różnice. No, może z wyjątkiem nazwy indiańskiego stanu Pocahontas włączonego do federacji USA oraz publicznie uznawanej i wykorzystywanej kasty czarodziejów. Kova nazwałby ich jednostkami utalentowanymi psychologicznie. Umieci siłą woli rozpalić ogień, przyspieszyć leczenie, czasami sami leczyć i, oczywiście, szkodzić. Jednymi z wielce utalentowanych czarodziejów okazali się na przykład Leonardo da Vinci oraz Charlie Chaplin. Nie zmieniali jednak świata zbyt głęboko i wkrótce stali się częścią życia codziennego, podobnie jak w świecie Kovaa dzuma lub wynalezione później antybiotyki. Różnice stawały się coraz większe, poczynając od roku 1938, gdy czeska armia odmówiła złożenia broni i bez oglądania się na rozkazy najwyższego dowództwa zaczęła walkę. Tak wybuchła tak zwana pierwsza wojna europejska.

W Prachaticach Kova dowiedział się od konduktora, że może już przejść do dołączonego właśnie wagonu pierwszej klasy, na który wykupił bilet. Przesiadł się z dwiema małymi walizkami. Przedział zajmował tłuścioch o dobrodusznym wyglądem, z grubym cygarem w ręce. Dym kłębamii wylatywał przez opuszczone okno. Pociąg znowu ruszył.

Kova zrobił minę, która miała świadczyć, że ciekawskie spojrzenia, jakimi obrzucał go współtowarzysz podróży, są mu obojętne.

–To jest dziki kraj, tu nadal diabeł mówi dobranoc – zaczął rozmowę grubas. – Zamiast trząść się po rozwalonych drogach własnym samochodem, lepiej pojechać pociągiem.

–To prawda. Ale potem jest kiepsko, na Szumawie bieda z taksówkami – odrzekł Kova.

Lepiej rozmawiać, niż niepotrzebnie zwracać na siebie uwagę. Według historyjki, którą wymyślił mu Vermirowski, pracował jako kupiec drewna dla wielkich papierni. To wyjaśniało jego obecność na Szumawie.

Dopiero w Pilźnie zmienili trakcję na elektryczną. Nie zmieniło to specjalnie tempa podróży, zniknął tylko dym, który od czasu do czasu owiewał tylne wagony pociągu. Kova zdążył się dowiedzieć, że tłuścioch jest przedsiębiorcą zajmującym się hodowlą bydła i owiec, ma żonę i trzy udane córki (oraz prawdopodobnie stosownych narzeczonych dla swoich latorośli, choć tego wprost nie powiedział). Szukał nowych obszarów do prowadzenia handlu, by rozszerzyć aktywa.

Do przedziału wszedł sprzedawca przekąsek. Kova automatycznie przejrzał swoje walizeczki. W jednej między mnóstwem zbędnych papierów ukrył złożoną kartkę z kilkoma słupkami liczb i danych czasowych. Vermirowski nazywał je koordynatami, które umożliwiały nielegalny przeskok do innego, równoległego świata. Przeskok musiał się odbyć w stosownym przedziale czasowym i miejscu. Kupa ludzi dobrze by mu zapłaciła za

takie informacje, a jeszcze więcej za know-how, jak takie koordynaty wyliczyć. Tych tajemnic ludzie Vermirowskiego mu jednak nie powierzyli. Obiecali tylko, że jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, dostarczą koordynaty następnego okna. O przeskoku ze świata do świata mówili jak o czymś oczywistym, co jest wprawdzie zakazane, ale powszechnie stosowane. Przed dwoma tygodniami wyśmiałyby ich, lecz teraz znajdował się w świecie kompletnie różnym od jego świata rodzinnego. A chciał wrócić do domu. Ostrzegali go, że to nie będzie łatwe. Musiałby znaleźć czarodzieja, który zdoła go tam dostarczyć.

–Na razie całkiem dobrze się jedzie, nie na darmo powiada się, że czeskie koleje są najpункtualniejsze na świecie – wykrzywił się z zadowoleniem tłuścioch alias Vilem Nekola.

Kova zgodnie przytaknął.

Vermirowski nie wykluczał, że przeskok do jego rzeczywistości można będzie przeprowadzić jedynie przy pomocy supertajnych urządzeń pozostających w rękach władz. Kovaowi to nie przeszkadzało. Jeśli nie da rady inaczej, spróbuje i tam.

Na dworcu pożegnał się z towarzyszem podróży. Obiecali sobie, że koniecznie muszą się spotkać na balu przemysłowców zaplanowanym na przyszły tydzień. Kova powątpiewał, by do tego doszło, ale nie zamierzał gasić entuzjazmu grubasa. Powoli szedł wzdłuż torów. Żelazne sklepienie dworca było mu tak dobrze znane, że przez chwilę czuł, jakby naprawdę znalazł się w domu. Patrolujący policjant nie zwrócił na

niego uwagi, zaliczył go widać do grona

przyzwoitych obywateli podróżujących pierwszą klasą.

Kova wiedział już dokładnie, co robi. Zatrzyma się w porządnym hotelu, zmieni ubranie ze stosownego dla Szumawy, ale mniej dla Pragi i wyśle właścicielowi „Pizzerii Kmotr” wiadomość z ofertą nie do odrzucenia. Uśmiechnął się z powodu własnego dowcipu. Może i oferta nie będzie aż tak dobra, ale na pewno zmusi Richtera do namysłu.

Pistolety pod marynarką

Marynarka pasowała doskonale, a rewolwer w podramiennej kaburze nie był zbyt widoczny, o ile ktoś nie przyglądał się uważnie. Zgodnie z ostatnią miejscową modą wybrał koszulę z prostą stójką, a na przekór jej zaleceniom – prążkowany szaroczarny krawat. Do noszenia kapelusza się nie zmusił i z krótko ostrzyżonymi włosami oraz zarostem, który zakrywał podrapaną twarz, wyglądał jak dobrze sytuowany mężczyzna zgrywający się na nieokrzesanego typka, ewentualnie jak dobrze sytuowany nieokrzesany typek.

Na miejsce spotkania wybrał restaurację na skraju placu Wacława. Zawsze panował w niej ożywiony ruch, a przeszklona ściana zapewniała dobry widok na zewnątrz. Przy stoliku obok siedziała jakaś parka, on starszy, siwowłosy, z kilkoma kilogramami nadwagi, znużonym wyrazem twarzy i obwisłymi policzkami, zaś ona doskonale ubrana, trzydziesto-, trzydziestopięcioletnia, w sukience do kolan, z długim rozcięciem z boku. Siatkowe pończochy i buty na wysokich obcasach uwydatniały doskonale nogi, obcisła bluzka dawała wyobraźni dość pożywki, aby zainteresować faceta koronkami spodniej bielizny i tym, co się pod nimi ukrywało. Podobała się Kovaowi. Była smukła, ale nie krucha, miała w sobie coś, co

zmuszało go do myślenia o pończochach z podwiązkami i jedwabkach. Jej partner zauważył to zainteresowanie, więc Kova powoli odwrócił wzrok w inną stronę i otworzył menu. W tej chwili nie potrzebował problemów, chociaż nie przypuszczał, aby ten znużony mężczyzna pragnął je stwarzać.

Richter pojawił się w chwili, gdy kelner po raz drugi dolewał Kovaowi kawy. Nie był sam, towarzyszył mu Jerzyk i niski mężczyzna o śniadej twarzy, w której było coś azjatyckiego. Kova nie zdołał przypisać go do żadnej nacji. Gdy siadali do stolika, spostrzegł, że Jerzyk i drugi mężczyzna mają broń.

–No, czyli dałeś sobie radę – trochę głupkowato powiedział Jerzyk, gdy tylko się przysiadł i gestem przywołał kelnera. – Wyszła z tego mała wojna. Podobno tajniacy natrafili na uzbrojoną bandę w sile minimum stu ludzi.

–Ja i mój przyjaciel – Kova poklepał się po piersi, gdzie pod marynarką schował broń – wystarczymy za całą armię.

Jerzyk ubawiony tylko pokiwał głową.

–Dlaczego tutaj? – spytał Richter.

–Szukali nas, mieli nas zgarnąć. Gdzieś bez wątpienia przeciekła informacja – odparł spokojnie Kova.

–W burdelu Fony nie zdołał utrzymać gęby na kłódkę. To się już nie powtórzy.

–Może – przytaknął Kova – ale lepiej trzymać miejsca i daty w tajemnicy najdłużej

jak to możliwe.

Richter zacisnął usta, na przyniesione napoje nawet nie spojrzał. Kova czuł, że lada chwila męczyzna wybuchnie wściekłością.

–To prawda, na przyszłość będę o tym pamiętał – zaskoczył go jednak na koniec.

Podnieśli szklanki, lód zagrzecotał. Laska o brązowych włosach rozmawiała teraz ze swym towarzyszem. Sądząc z wyrazów ich twarzy, szło o coś ważnego i niezbyt miłego.

–Te dwanaście hektolitrów piwa zmuszony jesteś skreślić -Kova kontynuował rozmowę.

–Tak bywa w handlu. Musiałem też skreślić dwóch chłopów. A teraz nie wiem, co mam o tobie myśleć. Jak uciekł Jerzyk – skinął ku wielkiemu mężczyźnie – to wiem. Ale co się działo z tobą? Policjanci mają różne metody.

Kova odsunął szklankę. Słodkich napojów nigdy nie lubił.

–To jest drugi powód, dla którego chciałem się tutaj spotkać.

Żeby miał komfort odpowiadania tylko na te pytania, które uznam za właściwe. Schowałem się w lesie, u znajomych. Za kilka dni Roderick też powinien pojawić się w Pradze.

Richter wyglądał na zaskoczonego. Jerzyk gwizdnął z zadowoleniem, mieszaniec zachował kamienną twarz. Kova czuł, że z jakiegoś niesprecyzowanego powodu koleś coraz mniej mu się podoba.

–Ile byś zaoferował facetowi, który by uratował twoją zmarnowaną inwestycję? – przeszedł do głównego punktu, z powodu którego chciał się spotkać z Richterem.

Gangster długo rozważał pytanie. Znów zagrzecotał lód, a kelner przybliżył się dyskretnie, aby sprawdzić, czy czegoś nie potrzebują. Znużony męczyzna położył towarzyszcze dłoń na przedramieniu. Uraczyła go jadowitym spojrzeniem, po którym cofnął rękę.

–Połowę, połowę zysku – odparł Richter powoli.

Kova nogą posunął ku niemu walizeczkę leżącą pod stołem.

–Ze względu na okoliczności musiałem swoim znajomym udzielić upustu, ale myślę, że i tak cena jest przyzwoita. Mój udział mi wyliczysz.

Teraz nie spuszczała z niego oczu. Richter schylił się powoli, podniósł walizkę, położył ją przed sobą na stoliku. Zanim ją otworzył, sprawdził, czy nikt nie poświęca mu zbyt dużo uwagi.

Bez pośpiechu sięgnął do wnętrza. Kova nie widział, co tam robi; odgadywał, że sprawdza losowe pliki banknotów.

–Prawdziwe. To najlepsza wiadomość, jaką dostałem od czasu nowiny o śmierci starego szefa policji.

Jerzyk zahuszał się na krześle i rozłożył ręce w geście podziwu.

–Zaskoczyłeś nas. Nie tylko ostry chłopak, ale i handlowiec. Takich ludzi jest niewielu. – Pokręcił znów głową z typowym dla niego szelmowskim uśmiechem.

–Dalej chcę rozmawiać w cztery oczy – rzekł spokojnie Kova.

–Jestem współnikiem – wyszczerzył zęby Jerzyk. – Jedziemy z tym starym brachem zawsze na tym samym wózku. On jest handlowiec – wskazał na Richtera – a ja muskuł.

Kova wymownie popatrzył na mieszańca.

–Spokój, Leuhek. – Richter położył mu rękę na ramieniu, zanim tamten zdążył się zerwać rozwścieczony. – John cię nie zna, poczekaj na nas na zewnątrz.

–Co jest najlepszym towarem handlowym? – zapytał Kova, gdy zostali sami.

–Modyfikowane piwo, kobiety, niektóre prochy... – odpowiedział Richter. – Ale w tych dwóch ostatnich branżach nie działamy. Człowiek musi wtedy pracować z ludźmi, z którymi niedobrze mieć cokolwiek wspólnego.

–Z czego robi się modyfikowane piwo? – Zanim zdążyli zareagować, Kova sam odpowiedział: – Z klapeanu, który jest właściwie mlekiem kokosowym ze specjalnego gatunku palmy, jaka tu nie rośnie. A czysty klapean nadaje się do mnóstwa innych rzeczy.

–Tak, czarodzieje potrafią z nim wyczyniać cuda. Kalekę uzdrowią, starca odmłodzą, sprawią, że kastrat znów ma chęć na kobiety – wyjaśnił Jerzyk, ale na przekór ironii w głosie oczy zaświeciły mu się zainteresowaniem.

–Dokładnie tak – zgodził się Kova. – Mam koordynaty. Czas i miejsce, w którym biegły w fachu człowiek może otworzyć przejście do świata pełnego palm kokosowych pożądanego przez wszystkich rodzaju.

Richter w zamyśleniu popatrzył na Jerzyka, a potem powiedział:

–A ty nie znasz odpowiednich ludzi, nie masz kontaktów handlowych ani czarodzieja, który by cię tam przeniósł.

–Dokładnie – potwierdził Kova.

Po ulicy przechadzał się tam i z powrotem Leuhek. Nadal wyglądał na rozeźlonego.

–To dobry strzelec, bardzo szybki, ale trochę popędliwy. Małe chłopaki tak już mają – skomentował Jerzyk badawcze spojrzenie Kova.

Kova tylko skinął głową. To było ostrzeżenie i dobrze je zrozumiał.

–Pół na pół – zaproponował Richter – ale będziesz osobiście uczestniczył w akcjach. Nigdzie nie wyślę swoich ludzi, dopóki nie stwierdzę, że mają szansę na powrót.

–Warunek przyjmuję. Ale też mam jeden. Po pierwszej udanej akcji zorganizujecie mi spotkanie z Armitusem. Mówią, że to najlepszy czarodziej, najlepszy otwieracz okien.

–Jest już stary. Stary i bogaty, nie pracuje – rzekł szybko Richter.

Dyskusja między kobietą a jej towarzyszem dobiegła końca. On z tłumioną wściekłością wstał i ruszył do wyjścia w pośpiechu, jaki rzadko widuje się w lokalach o podobnym standardzie. Brązowowłosej wyraźnie ulżyło. Skinęła na kelnera i

zamówiła margaritę.

–Dobra, spotkanie z Armitusem możemy ci zorganizować – rzekł po krótkim namyśle Jerzyk. – Nie ręczymy jednak za rezultat. Chcesz wrócić do domu, co?

Kova przytaknęła.

–Koordynaty? – Richter kontynuował rozmowy handlowe.

–To moja tajemnica. Pokażę je dopiero facetowi, który przerzuci nas na drugą stronę.

–Prace przygotowawcze, głównie najęcie czarodzieja, będą kosztować niezłą forszę. – Richter wyjął z tabakiery jedno ze swych krótkich, mocnych cygar.

–Czy wyglądam na gościa, który nie dotrzymuje słowa? – zapytał Kova.

–Nie, oczywiście, że nie – zgodzili się obaj, Richter z Jerzykiem.

–Więc ubiliśmy interes?

–Wypijmy za to. – Richter po raz pierwszy od początku rozmowy dał wyraz zadowoleniu. – To może z nas zrobić bogaczy.

Prawdziwych bogaczy, którzy mogą kupić wszystko, co zechcą.

Zapalił cygaro, otoczył go obłok niebieskiego dymu. Widać tutaj nie dotarła jeszcze oświata zdrowotna trąbiąca o szkodliwości palenia. Nikt się nią nie interesował i dlatego też nikt tu jej nie propagował,

przyszło Kovaowi do głowy.

–Zastanawiam się tylko, co będę robił, gdy zostanę aż tak obrzydliwie bogaty – zamyślił się Richter poważnie.

Po przypieczeniem porozumienia toastem wstał.

–Przypuszczam, że jeszcze chwilę tu zostaniesz – rzekł cicho Jerzyk i także wstał. Na kobietę przy stoliku obok nawet nie spojrział.

–Przypuszczasz prawidłowo – zgodził się Kova.

Jerzyk nałożył kapelusz i raptem przestał wyglądać jak żołnierz jednostek specjalnych wepchnięty w nazbyt wytworne ubranie, ale jak miejski elegant, prawie fircyk. Kova poczekał, aż jego towarzysze wyjdą, wstał i podszedł do stolika obok.

Brązowowłosa rzuciła mu pytające spojrzenie.

–Pani wybaczy, że przeszkadzam, ale zauważyłem, że pani towarzysz odszedł bardzo pośpiesznie. Czy mogę pani w czymś pomóc?

W ciemnobrązowych oczach błysnęło rozbawienie. Wokół nieznanym unosił się zapach dzikiej róży z dodatkiem cytrusa i jeszcze czegoś, czego nie zdołał rozpoznać.

–Jakiego rodzaju pomoc mi pan oferuje? – zapytała.

–Przypuśćmy, że niechętnie pije pani sama. Albo brakuje pani drobnych na rachunek, który nie został uregulowany.

–Jest pan ostrożny – oceniła go.

–A także szarmancki.

–I zbyt pewny siebie.

–Zapewne, ale tacy już są prawdziwi mężczyźni – odpowiedział spokojnie.

Podobało mu się, że bawiła ją ta gra i chętnie brała w niej udział. Zaśmiała się, przysuwając do siebie torebkę.

–Napiałabym się czegoś dobrego, ale tutaj nie mam na to większej ochoty.

Kova z rulonu w kieszeni wyciągnął jeden banknot i położył go na tacce pod serwetką.

Nachyliła się ku niej, z bliska poczuł perfumy zmieszane z jej własnym zapachem. Odetchnął głęboko i bezgłośnie wypuścił powietrze przez zęby.

–O czym pan myśli? – zapytała, gdy usiłował złapać taksówkę.

–O tym, jak by to było kochać się z panią.

–Mówiłam, że jest pan zbyt pewny siebie. Zatrzymała się przed nimi błyszcząca tatra 913 z tabliczką taxi.

Kova otworzył drzwiczki i przytrzymał je kobiecie.

–Jakąś wadę muszę mieć, przyznaję. Może i dwie – dodał, obchodząc samochód.

Wielki biznes

Namawianie, jak Jerzyk nazwał negocjacje handlowe z czarodziejem, miało się odbyć podczas wieczorku koktajlowego na tarasie hotelu usytuowanego przy deptaku w centrum. Richter nie czekał na ich wynik i już gromadził podstawowe elementy, które według dołączonych do koordynat instrukcji miały być potrzebne do otwarcia okna.

John Kova zgodnie z ustaleniami przybył sam, a ochroniarzom strzegącym wejścia pokazał zaproszenie, o które wystarał się Jerzyk. Zaproszenie samo w sobie stanowiło dzieło sztuki, łączące kaligrafię z wyrafinowaną grafiką.

Jeden z ochroniarzy przyglądał mu się długo i uważnie, ocenił spojrzeniem lekką wypukłość smokingu i prostą walizeczkę w ręce.

Starą Kova wymienił na dziesięciokrotnie droższy neseser z krokodylej skóry, aby pasował do jego nowego wyglądu, świadczącego o pozycji społecznej.

–Zaproszenie jest w porządku – przypomniał partnerowi drugi ochroniarz, gdy milczenie przekroczyło dopuszczalną miarę.

Mężczyzna w marynarce kiwnął głową i niechętnie zszedł Kovaowi z drogi.

–Miłego wieczoru, panie – życzenie brzmiało trochę sarkastycznie.

Kova nie wiedział, dlaczego ochroniarze przy drzwiach wyraźnie odróżniają się od zwyczajnych gości. On i Jerzyk także się wyróżniali. Wszedł do pierwszego saloniku, gdzie przywitała go muzyka płynąca zza otwartych drzwi. Zanim zdążył porządnie się rozejrzeć, nadbiegł kelner z tacą pełną smukłych kieliszków z szampanem.

–Toast powitalny już wzniesiono, panie. Ale gospodarz, pan Ignac Szustal, życzył sobie, aby ten wspaniały szampan Gosset Grand Rose oczekiwał i na później

przybyłych gości.

Kova skinął głową na znak podziękowania i wziął kieliszek.

Przeszedł do dalszego saloniku, gdzie oddawano się konwersacji i podjadaniu smakołyków przygotowanych dla łakomczuchów na szwedzkim stole. Przez otwarte drzwi tarasowe do zgęstniałej mieszaniny perfum, papierosów i cygar przenikały chłodniejsze powiewy świeżego powietrza i trochę głośniejsza muzyka.

Bez pośpiechu obszedł stół wokół. Ze swym neseserkiem wzbudzał pewną uwagę, ale nie zamierzał chować go w szatni czy powierzać członkowi personelu. W rogach saloniku stali mężczyźni ubrani jak kelnerzy, którzy jednak kelnerami zdecydowanie nie byli. Jerzyk twierdził, że czarodziej, którego chcieli zaangażować, życzył sobie obejrzeć Kovaa, zanim się z nim spotka. Pytanie, czy koleś umie czytać w myślach, pozostawało co prawda bez odpowiedzi, ale podobno, jakby mimochodem, świetnie umiał ocenić normalnych ludzi.

–Martini. A oliwek włożcie mi tam raczej sporo – usłyszał głos zbyt szorstki, by pasował do eleganckich, wykwinnych toalet i biżuterii kobiet oraz dyskretnych klejnotów noszonych przez mężczyzn.

Unosząc szklaneczkę, wysoka kobieta z gołymi ramionami wychyliła się trochę bardziej, niż było to potrzebne.

–Nuda, no nie? Taka sama w Pradze jak w Brnie – powiedziała do Kovaa.

Sądząc ze szklących się oczu, nie był to bynajmniej jej pierwszy drink.

–Przeciwnie, to byłby wspaniały wieczorek, gdybym przyszedł tu się zabawić – odparł Kova bez towarzyskiego uśmiechu, wypatrując Jerzyka.

–Nie, ponieważ jest pan sam – nie zgodziła się, a jej głos na moment znów zgrubiał. – Jestem szczerą, a to znaczy, że się upiłam.

Kovaowi przyszło do głowy, że mógł wziąć ze sobą Klarę. W nocy nie poruszali takich tematów, a rano zabrakło na to czasu. Odleciała na dwa dni do Budapesztu doglądać inwestycji ojca.

–Pani pozwoli, madame? – pojawił się nagle Jerzyk. – Będę musiał na parę minut ukraść pani towarzysza.

Kobieta tylko machnęła ręką i pokazała kelnerowi, że chce nową szklaneczkę. Tej, którą trzymała w ręce, nie opróżniła nawet w połowie.

–Wysoko mierzysz – uśmiechnął się Jerzyk, prowadząc Kovaa na zewnątrz, ku balustradzie tarasu. – Gadałeś z małżonką jednego z najbogatszych ludzi w Pradze, może nawet w całym państwie.

Kova wzruszył ramionami. Do rozmów handlowych w podobnym otoczeniu nie był przyzwyczajony, w ogóle do żadnych rozmów handlowych. Ani do takich pomieszczeń.

Przy balustradzie oczekiwał ich szczupły mężczyzna w białym smokingu ze złotymi guzikami. Twarz miał bladą, włosy blond lub jeszcze jaśniejsze, w kolorowym świetle lampionu nie sposób było to określić. Gdy Kova napotkał jego spojrzenie, poczuł podobny nacisk jak przy przesłuchaniu policyjnym. Nie tak silny, ale równie

przenikliwy. Bardzo przebiegły facet, ocenił.

–Nie lubię, jak mi się ktoś dobiera do głowy – rzekł spokojnie.

–Andrzej Marzik, John Frantiek Kova – przedstawił ich sobie Jerzyk.

–Tego nikt nie lubi. Ale muszę wiedzieć, na ile mogę panu zaufać. Tajniacy i wojsko są ostatnio podrażnieni jak osy i nie mam ochoty dostać się w ich łapy. Mnóstwo pieniędzy i trudu kosztuje potem człowieka wydostanie się z tego szajsu.

Z jego słów wynikało, że czarodzieje utrzymywali jakieś kontakty z władzami. Może nie dobrowolnie, ale i to trzeba było brać pod uwagę, szybko zorientował się Kova.

–Wie pan już, o co chodzi? – zapytał wprost.

–JFK, JFK, ty nigdy nie będziesz negocjatorem handlowym -zarechotał Jerzyk.

–No tak, jeśli koordynaty są w porządku, a ja pana doprowadzę na miejsce, chcę dwanaście procent od zysku. Wszystkie koszty

ponosi pan. Jeśli nie zdołam tam pana przenieść, to zapomnę, że kiedykolwiek widziałem jakieś koordynaty. Kova spojrział pytająco na Jerzyka.

–Możemy mu zaufać. Tu nikt nie zawraca sobie głowy umowami. Mężczyzna ma tylko jedno słowo, zaś czarodziej w szczególności.

Kova bez dalszej zwłoki położył neseser w rogu balustrady i otworzył go. Część koordynat tworzyło wykazy czegoś, co przypominało astrologiczne oraz astronomiczne wyliczenia uzupełnione o niezrozumiałe obrazki z planetarnymi symbolami i innymi, których nie pojmował.

Andrzej Marzik uważnie studiował wyciągi i kolumny liczb. Trwało to tak długo, że Jerzyk poszedł po drinki i przyniósł szklaneczki wszystkim trzem.

–Sprostam temu – rzekł na koniec jasnowłosy mężczyzna. – Choć łatwe to nie będzie. To musi być okno dynamiczne.

–Dynamiczne? – Jerzyk przeciągnął z zaniepokojeniem słowo.

–Z pewnością. Statyczną bramę umieją zrobić czarodzieje państwowi i może... – Marzik zamyślił się. – Może jeszcze Armitus, o ile nadal jest w branży. Na przygotowania mamy trzy dni. Będę potrzebował paru podstawowych rzeczy.

–Jesteśmy umówieni – stwierdził Kova, zamknął neseser i podał go czarodziejowi.

–Pierwsze wskazówki przyślę panu nad ranem.

Jerzyk wzniósł oczy ku niebu.

–Taka wystawna balanga, a ja wracam pracować. A wejście tu kosztowało mnie tyle trudu.

Marzik wzruszył ramionami.

–Praca pozwala się bogacić.

Kova szedł za dwójką zmierzającą do wyjścia. Jemu nie

chodziło o forszę. Chciał się dostać do domu. Tymczasem wyglądało jednak na to, że najpierw musi się wzbogacić, aby zapłacić za okno do swojego świata.

Do przygotowań wynajęli wielki magazyn w pobliżu dworca w Wysoczanach. Mimo protestów pozostałych Kova uparł się, że jedynymi ludźmi wtajemniczonymi we wszystkie szczegóły akcji, którzy mogą jeździć do miasta, będą on, Jerzyk i Andrzej Marzik.

Teraz przyglądał się, jak ludzie przygotowują łodzie, amunicję, wielkie wory na towar. Do ekwipunku należały też liny alpinistyczne i karabińczyki. Kova sam przyniósł kilka zestawów pierwszej pomocy, bo o wyposażeniu sanitarnym nikt nie pomyślał. Kiedy Jerzyk był w pobliżu, ludzie utrzymywali jaką taką dyscyplinę, chociaż dużo im brakowało do profesjonalizmu żołnierzy, do jakiego Kova był przyzwyczajony. Teraz Jerzyk wyjechał, aby przekupić paru ludzi: maszynistę, kierownika składu pociągu i kilku zawiadowców stacji. Wskazał ich Richter, twierdząc, że tylko w ten sposób spełniają wymagania Marzika.

–Po co nam, cholera, stare drewniane kanu? – wybuchnął nagle Leuhek, którego naprawianie łodzi przestało bawić.

Kova wiedział, co mu tak naprawdę przeszkadza – fakt, że przydzielono go do zwykłych najemnych pracowników dowodzonych przez niego, przybłądę znikąd.

Potrzebowali wielkich kanu, jakie zdołałyby unieść potężny ładunek. Jedyne, które w tak krótkim czasie zdołali zdobyć, okazały się prawie muzealnymi eksponatami.

–Bo ich potrzebujemy – odpowiedział spokojnie i dalej układał leki i materiały opatrunkowe w wodoodpornym worku z natłuszczonej świńskiej skóry. We wskazówkach, które dostał od Vermirowskiego, jasno stało, że powinni używać materiałów tradycyjnych i wystrzegać się wszelkiej nowoczesności.

–I co, będziemy wiosłować? Nie kupiliśmy ani jednego zasranego silnika – Leuhek podniósł głos.

Ludzie przestali pracować i przyglądali mu się wyczekująco. Marzik też odwrócił się od swoich papierów. Kova wiedział, o co chodzi.

–Tak, dokładnie tak. Będziecie wiosłować, jeżeli tak rozkażę.

Silnika nie kupiliśmy, bo tak zdecydowałem – odparł spokojnie.

Wiedział, że to nieprawda. W uwagach Vermirowskiego, które Marzik Bóg wie czemu tak wysoko cenił, było napisane, że silnik na nic się nie przyda.

Leuhek zostawił rozgrzebaną robotę z wykrzywioną twarzą. Kova podszedł do niego dwoma spokojnymi krokami. Niższy mężczyzna miał u boku broń, doskonale o tym pamiętał. Nigdy jej nie odkładał, nawet podczas pracy.

–A dlaczego myślisz, że miałbym posłuchać takiego głupka jak ty, co wciąż liże tyłek staremu Richterowi.

Stali naprzeciw siebie z zaciętymi minami. Pozostali odsunęli się, przewidując, do czego zaraz dojdzie.

Kova wiedział, że Leuhek trzyma dłoń blisko chromowanego rewolweru z kolbą wykładaną masą perłową. Oraz to, że sam znajduje się w idealnej pozycji i odległości. Wysunął naprzód lewą nogę i równocześnie potężnie uderzył prawą ręką. Klasyczny wypad bokserki wsparty wagą i siłą całego ciała, taki, który wbija brzuch do środka

i kładzie chłopa na miejscu. A słabszego zabija.

Leuhek runął do tyłu, rewolwer upadł na ziemię. Kova musiał przyznać, że okazał się naprawdę szybki, szybszy, niż przypuszczał. Niski mężczyzna charczał, z ust ciekł mu strumyk krwi.

–Potrzebuje doktora – zauważył ktoś cicho.

Kova skinął głową i podszedł do czarnego, starożytnego telefonu, aby zadzwonić do Richtera. Facet na pewno znał właściwych lekarzy. Tam i z powrotem

Czeska Trzebowa zniknęła w obłokach dymu, pociąg nadal stopniowo przyspieszał. Maszynista i kilku innych ludzi dostali solidną zapłatę, aby na odcinku trasy biegnącej przez dziką krainę Wysoczyny osiągnąć i utrzymać prędkość ponad stu trzydziestu kilometrów na godzinę. W tym celu Richter musiał załatwić wymianę zwykłej lokomotywy elektrycznej na parową, używaną w ekspresach międzynarodowych.

Kova wstał, otworzył plecak i zaczął obwieszać się wyposażeniem wystarczającym dla małej armii. Vermirowski zalecał, żeby wzięli ze sobą tylko najpotrzebniejsze rzeczy, ale tym razem Kova nie zastosował się do jego rady. Nie przejmując się zdziwionymi spojrzeniami współpasażerów, kontynuował przygotowania i równocześnie wyglądał przez okno. Wysoczyna wydawała się jeszcze bardziej dzika niż Szumawa. Wiedział już dlaczego. Był to wynik pierwszej wojny europejskiej, trwającej od roku trzydziestego ósmego do czterdziestego piątego. Armia Czeska samowolnie wystąpiła przeciwko aneksji granic, potem władze z opóźnieniem wypowiedziały Niemcom wojnę. W ciągu trzech następnych lat do walk włączyły się: Polska, Francja, Węgry, Holandia i Belgia. W roku czterdziestym drugim Niemców zepchnięto

na obszar zajmowany przez ich państwo przed wojną. Austria odrzuciła anschluss w drodze referendum.

Kova przestał dumać nad niewiarygodnymi faktami, sięgnął aż na dno plecaka i wyciągnął wielki kordelas. Przypiął go do pasa, a koniec pochwy przywiązał do uda. To samo zrobił z kaburą rewolweru na prawym boku.

Lokomotywa zagwizdała. Jechali teraz zielonym tunelem w dziewiczym, przez ponad stulecie nietkniętym lesie, czy raczej pralesie. Jakby ta kraina sama chciała mu zademonstrować, że ten dziwnie znajomy świat jest w rzeczywistości zupełnie inny. A i historię też ma inną.

W grudniu czterdziestego drugiego doszło do zwrotu w wojnie. W ciągu dwóch tygodni zostali wzięci do niewoli i zabici wszyscy czarodzieje sojuszu antyfaszystowskiego. Kova na własny użytek nazwał ich „parapsychologicznie wytrenowanymi wywiadowcami”. Następnie naziści przedsięwzięli szereg równoczesnych kontrataków, co dziwne – bez użycia wojsk zmechanizowanych, jedynie siłami piechoty. Ataki te okazały się jednak nieoczekiwanie skuteczne. Za wojskami niemieckimi zostawała dosłownie spalona ziemia. Trupy żołnierzy z wypalonymi oczami i mózgami, głowami rozerwanymi przez eksplozje lub z ugotowanymi wnętrznościami. W książkach historycznych, które mimo braku czasu

zdażył przeczytać, kontratak ten nazywano blitzkriegiem czarodziejów. Kova przypomniał sobie boleśnie ściągniętą twarz Vermirowskiego, który mówił:

–Doszliśmy wreszcie, co kryje się za ich zdolnościami. Jednak zanim doszliśmy, zginęło prawie trzydzieści milionów kolejnych ludzi, a między nimi co trzeci Czech.

Drzwi przedziału otworzyły się gwałtownie.

–Jesteśmy gotowi! – oznajmił mężczyzna w ciemnofioletowym ubraniu i błyszczących półbutach, jeden z dwóch pomocników, których przyprowadził Marzik.

Kova wyszedł z przedziału, przeszedł korytarzem i skierował się ku końcowi pociągu. Znajdował się najdalej od ostatnich wagonów ze wszystkich swoich ludzi – zakładał, że podróżujący nie będą stwarzali problemów. Nie stwarzali. Pociąg rzucający się w ostre zakręty ze zbyt dużą prędkością, piskliwe zgrzytanie lokomotywy i podwozia wystraszyły ich wystarczająco.

Ostatnie dwa wagony były towarowe i nie powinny należeć do składu ekspresu. Wspólnicy Kovaa zapakowali do nich wyposażenie, trzy wielkie kanu na podkładkach, pieczołowicie zabezpieczone klinami. Marzik, na wpół zakryty płachtą, kurczył się na krześle przymocowanym na samym końcu pociągu. Kova miał wrażenie, że czarodzieja zasnuwa blady opar, ale nie mógł poświęcać mu więcej uwagi. Musiał przypilnować, by ludzie rozmieścili wszystko należycie i sprawdzili sprzęt. Ledwo się usadowił na miejscu, opar otaczający czarodzieja rozszerzył się i na niego. Odniósł wrażenie, że świat traci wyraźne kontury, a świszczący wiatr przybiera na sile. Potem bez ostrzeżenia otoczył go ogień. Jego samego, ekwipunek, kanu i część wagonu, gdzie leżały łodzie. Czuł, jakby palił go nieznośny żar, ktoś krzychał, ktoś się głośno modlił. W oddali, jakby za kurtyną, dostrzegł

Marzika, który wstawał ze swego tronu. Jego ogień nie ogarniał, ponieważ on nie wyruszał niezwykłym oknem do innego świata. Otoczenie zniknęło, rozmyło się, pozostało tylko wrażenie szybkości i zawroty głowy.

*** Wzdymająca się fala z pluskiem przelała się przez dziób.

–Spokój, nie ruszać się! – ryknął Kova.

Gdyby nabrali za dużo wody, mogliby się łatwo wywrócić. Kanu sunęło przez chwilę siłą bezwładności, a potem zwolniło, kołysząc się leniwie z boku na bok. Nabrali porządną ilość wody, ale utrzymali się na powierzchni.

–Bez gwałtownych ruchów, pomału wylewać – komenderował dalej.

Otoczająca ich mgła rozrzedzała się, a równocześnie nasilał się szum fal i dobiegający z oddali świergot ptaków. Zmoczył palec i polizał go. Słona. Dostali się do innego świata, być może do tego, o który im chodziło.

–Kurwa, jesteśmy na miejscu – wydyszał ktoś.

Pozostałe dwa kanu kołysały się na wodzie kilkadziesiąt metrów

dalej. Na lewo i na prawo dało się dostrzec płaskie wyspy porośnięte palmami, obramowane białymi, piaszczystymi plażami o dziewiczym wyglądem. Kova wiedział, że ocena odległości na wodzie bywa zawodna, ale stawiał, że najbliższa znajduje się nie dalej niż dwa kilometry od ich obecnej pozycji.

–Jerzyk! – wrzasnął.

Na jednym z kanu podniosła się znajoma postać. Wielki mężczyzna chwiał się nieco, ale uniósł kciuk w geście zwycięstwa. Każdy inaczej znosił przejście między światami, w załodze Kovaa dwóch się porzygało i ledwie byli zdolni wybierać wodę z łodzi.

Kova wskazał wyspę i zanurzył wiosło w wodzie.

–Do roboty, jesteście na miejscu! – zawołał i sam jako pierwszy pociągnął wiosłem.

Kanu, każde z czwórką ludzi na pokładzie, ruszyły gęsiego w tym samym kierunku. Już po chwili udało się ustalić równe tempo wiosłowania, a Kova nie miał wiele do roboty przy sterze. Zaczął się pocić, mimo że twarz owiewał mu łagodny wiatr. Pozostali czuli się tak samo. Widział, jak na ich plecach rosną mokre plamy. Kanu przewalały się leniwie przez wolno toczące się fale, które na przemian to zasłaniały, to odkrywały cel podróży. Kova świetnie zdawał sobie sprawę, że mają szczęście. Przy gorszej pogodzie w parę chwil poszliby na dno.

–Łódź nam przecieka! Ten pieprzony epoksyd pęka i nie trzyma!

–krzyknął ktoś z przerażeniem.

Kova przestał wiosłować i odwrócił się. Poczuł, jak łódź się przy tym rozhuściła.

–Zostańcie na miejscach! – huknął, żeby uspokoić ludzi.

Załoga trzeciego kanu miała problem, widać to było już na pierwszy rzut oka. Łódź osiadła na wodzie jak kaczka i z każdą chwilą zanurzała się głębiej. Kova spojrzał pod nogi – poziom wody nie wzrastał, uszczelnienia z pakuł i dziegiu trzymały pewnie.

–Wiosłujcie! – zakomenderował i sam napał na wiosło, aby jak najszybciej zawrócić łódź.

Jerzyk już go wyprzedzał.

–Nie umiem pływać! – krzyczał jeden z ludzi.

Tonące kanu przewróciło się, pasażerowie wpadli do wody. Fala, nieco większa od poprzednich, przesłoniła na chwilę widok, a gdy opadła, na powierzchni trzymało się już tylko trzech.

Klnąc, ostrożnie wyciągnęli rozbitków – Jerzyk dwóch, Kova jednego – a po wszystkim w milczeniu skierowali się ku wyspie.

–Jedna trzecia wyposażenia przepadła! – Kova usłyszał wściekłego Jerzyka.

Jemu bardziej było żal chłopca, który się utopił. Taka niepotrzebna śmierć.

–Jak to się stało, że załataliście tę łódź epoksydem!? – wściekał się dalej Jerzyk.

–Trzyma lepiej niż jakieś zasrane pakuły! – bronił się jeden z przemoczonych mężczyzn.

–Jak ci czarodziej mówi, że mają być pakuły, to bierz pakuły -odwarknął Jerzyk. – A jak nie, to nakopię ci...

Reszty pogrózek Kova nie usłyszał, rozdzielili ich fale i słowa zginęły w szumie morza.

Bez dalszych problemów dobili do brzegu i wyciągnęli kanu na plażę, kilka

metrów poza linię przyływu.

Wyglądało to jak tropikalny raj z ulotek biur podróży, ale nikt nie podziwiał pięknej okolicy. Pierwszy trup już w kilka minut po

rozpoczęciu desantu spowodował, że nastrój panował marny, a poza tym czekała ich wyprawa w zupełnie obcy teren.

Kova nie rozebrał się jak niektórzy z pozostałych. Nie wiedział, co potrafi słońce w tym świecie. Sprawdził tylko wyposażenie i cumy łodzi, na które narzucili płachty z surowego płótna, a następnie zasypali piaskiem. Zauważył, że ergonomicznie ukształtowana rękojeść noża zdążyła już popękać, a na oksydowanej powierzchni ostrza pokazały się plamy rdzy. Gdy oglądał nóż, zauważył ciemny cień na nieskazitelnie białej powierzchni plaży. Schylił się i podniósł starą żelazną odznakę. Przyglądał jej się z zaskoczeniem. Brakowało pewnej części, ale mimo to zdołał rozpoznać kształt swastyki. Była używana w historii ludzkości przez wiele narodów, ale tę poznawał doskonale. Miał w rękach wojenny Krzyż Zasługi armii niemieckiej. Podczas drugiej wojny światowej przyznano ich ledwie trzysta, a to znaczyło, że człowiek, który ją tutaj stracił, prawdopodobnie odznaczył się na wojnie. Kova instynktownie sprawdził rewolwer. Lufa w ciągu krótkiego czasu pokryła się patyną, jakby nosił tę broń przez połowę życia. W tym samym momencie jednemu z ludzi rozpadł się w rękach nowoczesny automat HK. Facet z wyrazem niedowierzania na twarzy przeżegnał się nad resztkami broni. Nazywał się Wrecki i, jak dowiedział się Kova, pochodził z Polski.

–Są światy, gdzie niektóre przedmioty strasznie szybko się starzeją. Ale tu jest gorzej, niż przypuszczałem – rzekł cicho Jerzyk.

–Nie będziemy się tu niepotrzebnie zatrzymywać. Przyszliśmy zerwać kilka orzechów kokosowych i nic więcej – powiedział Kova głośno, aby przymusić ludzi do działania i nie dopuścić do paniki. – Palmy są prosto przed nami.

Wyruszyli. Kova z Jerzykiem musieli bezustannie pilnować, żeby ludzie nie zbijali się w kupę jak wystraszone dzieci. Wystarczyłaby jedna seria, a byłoby po nich. Po pięciuset metrach marszu po rozpalonym piasku dotarli na skraj palmowego gaju lub lasu, Kova nie potrafił tego rozróżnić.

Nie widział żadnych śladów ludzi ani zwierząt, tylko wielobarwne papużki, które rojąc się w cieniu drzew, przypominały żywe klejnoty, choć niektóre dzięki swym fantastycznym kolorom raczej tanią biżuterię.

Z bliska palmy okazały się wyższe, niż przypuszczali, a na każdej wisiała para orzechów. One również były większe, niż się spodziewali.

–Do roboty, chłopcy! – pogonił ludzi Jerzyk. – Kato i Vlam zostają na straży, reszta na drzewa.

–Przejdę się dookoła – oznajmił Kova.

Jerzyk kiwnął głową. Nie uśmiechał się, tylko nieustannie uważnie rozglądał. Jemu też się to miejsce bardzo nie podobało.

–Ta plaża. Jeśli ktoś tam się na nas zaczął, wystrzela nas jak króliki. Nie ma tam żadnej kryjówki – rzekł poważnie.

–Dlatego się rozejrzę – powtórzył Kova.

Ruszył w głąb palmowego lasu. Drzewa o rozłożystych koronach rosły daleko od siebie, bo potrzebowały dużo miejsca, ale i tak musiał się przedzierać przez gęste zarośla i sięgającą do kolan kłującą trawę. To była jedyna nieprzyjemność, na jaką się natknął. Co dziwne, nie dokuczały mu żadne owady. Teren cały czas wznosił się łagodnie, po chwili ucichły odgłosy pracujących ludzi. Dziwiło go, że jak dotąd nie natrafił na żaden potok albo rzeczkę. Woda musiała być płytko pod powierzchnią, inaczej palmy by tu nie rosły. Chyba że miejscowy klimat był bardziej wilgotny, niż się zdawało. Otarł pot z czoła i napił się wody z manierki. Jego spojrzenie padło przy tym na biały głaz wystający z wysokiej trawy. Pochylił się nad nim i spostrzegł zbiegającą z upływu czasu czaszkę. Słońce, deszcze i niedostrzegalne owady zmieniły ją w idealnie czystą pamiątkę dawnej ludzkiej obecności. W tylnej części ział mały otwór. Kova potrząsnął czaszką -odpowiedział mu grzechot, a zaraz potem na trawę spadł kamienny grot strzały. Przez chwilę oglądał go uważnie. Nie była to byle jaka, zgrubna robota, ale doskonale opracowany przez znawcę rzemiosła krzemienisty liść.

Schował go do kieszeni, czaszkę odłożył na miejsce i wrócił do pozostałych.

Podczas obchodu praca posunęła się naprzód, bo w miejscu, gdzie zaczęli zbiór, drzewa były już ogołoczone z orzechów.

—Ładunek przeniesiemy za jednym razem, wszyscy naraz — oznajmił Jerzykowi Kova.

Wielki mężczyzna spojrzał na niego pytająco.

—Jacyś ludzie już tu byli. Ale to kiepskie miejsce na wycieczki.

Kilku z nich znalazło tu swój grób — Kova zaznajomił go z wynikami rekonesansu.

Dzień był wyczerpujący, zbyt szybko skończyły się zapasy wody i wszyscy cierpieli pragnienie. Wrecki, który pocił się najmocniej, w pewnej chwili popatrzył z namysłem na wielki kokos.

—Sto tysięcy, może więcej. Prędzej pękne, niż się z tego napiję.

Kova sam chętnie by się napił, ale nie miał zaufania do

wyszukanej przez czarodzieja substancji, którą zawierał owoc. Nie, dopóki nie dowie się więcej.

O zmroku trochę się ochłodziło, ale nie wydawało się, żeby z nieba miał lunać deszcz. Wkrótce oczom Kova ukazał się gwiazdozbiór, który jeszcze bardziej niż dziwaczna okolica utwierdził go w przekonaniu, że znajduje się gdzieś indziej, w odległym świecie. Poczł się naraz całkiem zagubiony, a powrót do domu wydał mu się mniej prawdopodobny niż kiedykolwiek dotąd.

—Pójdziemy? — wyrwał go z zamyślenia Jerzyk.

Kova tylko kiwnął głową i chwycił plecak, który prawie pękał

od napchanych do niego orzechów. Początkowo chcieli wydzielić trzech ludzi w charakterze uzbrojonego patrolu i ochrony, w końcu jednak zdobycz musieli nieść wszyscy.

Z nastaniem ciemności morze wyglądało jeszcze bardziej tajemniczo i groźnie, woda w porównaniu z nadal gorącym piaskiem zdawała się lodowata. Kilku ludzi

rozkaszlało się. Zdyszani ciągnęli

łodzie po piasku. Przyptyw cofnął się, mieli do brzegu tak samo daleko jak przy lądowaniu. Vlam nagle zgiął się wpool i zwymiotował. Kilku innych miało kłopoty z utrzymaniem równowagi. W końcu pierwsze kanu znalazło się na wodzie. Dwóch ludzi przytrzymało je, a pozostali ładowali.

–Jednej łodzi brakuje. Co będzie, jeśli nie zabierzemy wszystkiego? – zapytał któryś w ciemności.

Z bliska falująca powierzchnia morza odbijała gwiazdy i przypominała ożywiony kobierzec.

–Jeden chłop waży osiemdziesiąt kilo. Osemdziesiąt kilo orzechów to będzie parę milionów. Poszatkowałem kiedyś człowieka za kilka tysięczków – mruknął inny.

Kova czuł, jak perspektywa bogactwa podkreca wyobraźnię tych facetów i wypełnia ich myśli dziwaczными, niebezpiecznymi rojeniami.

–Dość tych bzdur, Johan – zasyczał Jerzyk – albo te osiemdziesiąt kilo, które tu zostawimy, to będziesz ty.

Resztę ładunku przenieśli bez problemu i przemoczeni odbili od brzegu, kierując dzioby łodzi naprzeciw falom. Teraz nadchodziła ta część planu, do której Kova miał najmniejsze zaufanie. Powrót.

Według Marzika wystarczyło, jeśli zbliżą się do miejsca, w którym się pojawili. Kova uporczywie wiosłował. Na kompas w rękojeści noża nie miał co liczyć, w ciągu dnia obluzował się i wypadł. Trzymali po prostu kierunek prostopadły do brzegu z nadzieją, że to wystarczy. Marzik twierdził, że przeniesie ich z

powrotem niemal dokładnie w tym samym momencie, w którym udali się w podróż do świata równoległego. A teraz oni nie wiedzieli, gdzie powinni płynąć. Taki bezsens, taka lekkomyślność.

Było to coś jakby błysk, jak kij bejsbolowy, który lekko zawadzi o czaszkę. Nie na tyle, żeby ją rozbić, ale dosyć mocno, aby mózg zawibrował jak piłka po trafieniu.

Spoceni, zmęczeni, pokryci solą z morskiej wody siedzieli w podrygujących kanu, a w twarze dał im chłodny wiatr.

Dekadencki czarodziej

Armitus mieszkał w willi otoczonej zielenią starannie utrzymanego ogrodu. W cieniu przystrzyżonych cyprysów wylegiwały się leniwie dwa psy. Gdy przechodzili obok nich po brukowanym chodniku, Kova stwierdził, że to nie psy, lecz tygrysy.

Musiał oddać broń strażnikowi pilnującemu bramy i teraz czuł się nieswojo.

–To nie są normalne zwierzęta. Armitus przywiózł je podobno z jakiegoś wypadu. Nie zapominaj, że jest czarodziejem – uspokajał go Jerzyk. – Dopóki nie zejdziesz ze ścieżki, nic ci się nie stanie.

To on zorganizował spotkanie, a wszystko, czego się Kova dowiedział o starym czarodzieju, potwierdzało, że była z niego twarda sztuka. Armitus żył w dobrowolnej izolacji i nie przyjmował nikogo. Park, choć pielęgnowany, był gęsty i rozległy jak dżungla, a Kova czuł, że w każdej chwili należy oczekiwać zagrożenia. Nie zaskoczyło go, gdy u podnóża ogromnego drzewa, w którym rozpoznał jedlicę, zauważył

skręcone ciało węża. Gad właśnie trawił, a sądząc po rozmiarze wypukłości wskazującej na położenie posiłku, Kova przypuszczał, że zżarł co najmniej osła. Albo człowieka, przyszło mu na myśl po chwili.

–Ładny pieśczocho – skostatował.

Tym razem to Jerzyk wyglądał na zdenerwowanego.

–Nie lubię gadów – oznajmił – a to nie jest pieśczocho, tylko raczej stróż, tak samo jak te tygrysy. Przed paru laty trzech cwaniaków chciało przyjrzeć się skarbcowi Armitusa. Wrócił jeden, obłąkany ze strachu. Twierdził, że jego kompanów zżarł taki właśnie potwór.

–Albo jakiś inny. Może tu być ich więcej, ogród jest spory -dodał spokojnie Kova.

Zatrzymali się przed schodami wiodącymi do drzwi, czy raczej wrót willi, gdzie czekał na nich kolejny odźwierny. W stonowanym ubraniu, szarej koszuli z tradycyjnym krawatem i ciemnych okularach nie wyglądał na służącego, raczej na sprawnego strażnika. Stary czarodziej polegał, jak widać, nie tylko na ochronie w postaci zwierząt.

Mężczyzna jeszcze raz dokładnie i badawczo obejrzał przybyszów, a potem zaprowadził do saloniku z ogromnym oknem wychodzącym na ogród.

Nim się Kova zdążył porządnie rozejrzeć, z drugiej strony wszedł otyły mężczyzna w satynowym habicie ozdobionym haftami przedstawiającymi osobliwe zwierzęta, na wpół krokodyle, na wpół smoki. Większość rysów twarzy nieznanego znikła w fałdach tłuszczu, został tylko wyrazisty nos i oczy.

–Przyszliśmy w sprawie porozumienia, panie – pierwszy odezwał się Jerzyk. – Ja i John Frantiek Kova.

Armitus spojrział na Kovaa z zainteresowaniem i usiadł w jednym z foteli. Tapicerka ugięła się pod ciężarem czarodzieja i otuliła rozlewające się ciało.

–Pan jest z innego świata, jak rozumiem – zaczął Armitus. – Nie wiem, czy chcę i mogę coś dla pana zrobić, ale najpierw musi pan spróbować przekonać mnie, że przyniesie mi to korzyść.

–Szukam kogoś, kto pomógłby mi wrócić do domu. Pan jest podobno najlepszym czarodziejem otwierającym okna przeskokowe.

–Najlepszym żyjącym czarodziejem, w istocie – zarechotał

Armitus z zadowoleniem. – A to dlatego, że byłem ostrożny. Jaki jest ten pana świat?

Początkowo Kova wątpił w zdolności Armitusa, ale odpowiadając na jasno sformułowane, zwięzłe pytania, zmienił zdanie. Pod fałdami tłuszczu skrywał się wciąż sprawny umysł.

–Nie ma żadnej magii, za to jest wspaniała technologia, maszyny myślące niemal tak sprawnie jak ludzie, badania kosmiczne – podsumował po półgodzinie Armitus. – Okna do takich miejsc otwierają się z oporem.

Kova poczuł, jak wraz z ciężkim oddechem uchodzi z niego nadzieja. Po pomyślnym powrocie z palmowego świata, zupełnie realnego przecież, skąd zabrali orzechy, gdzie przeszedł chrzest bojowy w poruszaniu się między światami, zaczął

wierzyć, że droga do domu istnieje.

–Ale ja tego dokonam – dokończył spokojnie Armitus.

Wyczarował z kieszeni mały dzwoneczek i zadzwonił.

Natychmiast pojawił się służący z tacą, karafką likieru o ciemnej barwie i jednym kieliszkiem. Postawił wszystko na stole, a następnie, skłoniwszy się, odszedł.

Armitus obsłużył się sam, nikomu nie zaoferował trunku i przez chwilę w milczeniu sączył brązowy płyn.

Kova milczał. Wiedział, że to nie są zwyczajne rozmowy handlowe. Wszystko wskazywało na to, że Armitus jest bogaty, bardzo bogaty. Z drugiej strony, aby człowiek stał się bogaczem, musi do bogactwa tęsknić. Nieustannie.

–Młodzi panowie – Armitus mlasnął i odstawił kieliszek – moja cena to sto milionów. Połowa przelewem bankowym z terminem płatności, powiedzmy, trzy dni po pańskim przejściu.

Jerzyk wyglądał na zszokowanego, ale Kova gorączkowo liczył. Jego udział z akcji po odliczeniu poniesionych nakładów wynosił piętnaście milionów. Potrwa parę tygodni, zanim Richter zorganizuje sprzedaż, lecz to nie miało znaczenia.

Wystarczyło sześć następnych podobnie udanych wypraw i ueziera na bilet powrotny.

–W jakiej walucie? – zapytał spokojnie.

Armitus zarechotał ubawiony.

–Nie ma pewniejszej waluty niż korona czeska. U was jest inaczej?

–A więc sto milionów w koronach czeskich? – jeszcze raz upewnił się Kova.

–Dokładnie tak. Albo kilogram hyuaki – dodał czarodziej.

–Hyuaka na wolnym rynku nie istnieje. Władza bacznie śledzi nawet najmniejszy przerzut. Nie da się zgromadzić takiego towaru -wmieszał się do rozmowy zaniepokojony Jerzyk.

–Wiem. A szkoda. Chociaż to, co dziś nazywają hyuaką, jest tylko słabym wywarem z substancji pierwotnej. Uprawiają ją w cieplarniach, ale do ogarnięcia jej prawdziwych tajemnic nie zbliżyli się bardziej niż dawniej – parsknął pogardliwie Armitus. – Te sto milionów wystarczy, chociaż hyuaka byłaby lepsza. Możecie odejść, panowie.

Kova odwrócił się i ruszył do wyjścia. W drzwiach stał już ochroniarz w tradycyjnym stroju. Musiał mieć elastyczne podeszwy butów, bo nie słyszeli, kiedy nadszedł.

Kova wiedział, dlaczego stary czarodziej tęskni za hyuaką. Właśnie tej substancji użyli w czterdziestym drugim czarodzieje Hitlera, aby pomnożyć możliwości bojowe szeregowców. Hyuaka i substancje pochodne do dziś należały do najpilniej strzeżonych skarbów państwowych. Używano jej dla dalszego rozwoju magii, szczególnie w celach wojskowych. A także do przesłuchań policyjnych. Kova przypomniał sobie czarodzieja-inkwizytora.

–Sto milionów – westchnął Jerzyk, gdy znaleźli się na parkingu przed posiadłością.

–Parę dni zrywania orzechów kokosowych. – Kova wzruszył ramionami.

Luksusowa tatra 913A zajmowała tyle miejsca co dwa zwykle samochody, a stojący niedaleko mercedes 500SL wyglądał przy niej jak samochodzik dla zwykłych ludzi. Kova kupił ją, bo wytwórnia jako jedyna oferowała samochody opancerzone.

Sześciolitrowy, dwunastocylindrowy silnik momentalnie zaskoczył, klimatyzacja zaczęła chłodzić rozgrzane wnętrze.

–Nie zaliczyłbym cię do chłopaków, którzy mają słabość do wielkich bryk – rzekł z rozbawieniem Jerzyk, gdy pchali się przez wąskie uliczki dzielnicy willowej.

–Chciałem ją wypróbować. W domu nie będę miał takiej możliwości – odpowiedział Kova. Wrzucił trójkę i musnął pedał gazu.

–Nie wolisz tu zostać? Pieniądze, kobiety, przygody. Możesz mieć wszystko – napomknął Jerzyk, z ciekawością obserwując Kovaa.

–Chcę wrócić do domu. Wasz świat jest dziwny, a wszystko się jeszcze pogorszy. Zatrzymaliście badania nad atomem, wybudowaliście pierwszy ENIAC, ale, go wyłączyliście, chcecie znakować ludzi jakimś czarodziejskim stemplem...

–Po co drogi program atomowy, skoro trzech wojskowych czarodziejów zrówna z ziemią jakiegokolwiek miejsce, wystarczy, żeby mieli cel w zasięgu wzroku? Całkiem jak przy zniszczeniu Hiroshimy i Nagasaki – spokojnie odpowiedział Jerzyk. – Oznakowywanie Karpensiego to świństwo, zgadzam się. Ale ten pomysł nie przejdzie. Wszędzie indziej może tak, ale u nas ludzie czują się niezawisli i przywykli walczyć o swoje.

Kova tylko przytaknął. Jerzyk mówił prawdę.

Klejnoty dla ślicznotki

Kova przyglądał się, jak Klara wstaje i podchodzi do barku. Nagość jej nie krępowała. Zachowywała się, jakby to było naturalne, i cechowała ją przy tym pewnością siebie. Lubił na nią patrzeć. Długie, zgrabne nogi, jędrny, okrągły tyłek i wąska talia.

Wąska w porównaniu z pozostałymi wymiarami. Jak na kobietę była wysoka i dobrze zbudowana.

–Szkoda, że grasz tylko w tenisa, możesz nabrać od tego nierównej sylwetki. Wiesz, z jedną ręką mocniej rozwiniętą.

Nalała sobie ginu z kwadratowej butelki i dopełniła sporą ilością toniku.

–Coś do picia?

Po seksie miała zawsze trochę ochrypnięty głos. Kova zdjął z poduszki czarne jedwabne majteczki i zamyślony zmiął materiał w palcach.

–To samo co ty.

–Lubię ćwiczyć – odpowiedziała, przygotowując drinka. – Cieszy mnie, że jestem w dobrej formie.

Odwróciła się ze szklaneczkami w rękach, światło zmierzchającego dnia plastycznie uwidoczniło krągłość bioder i sterczące z ciemnych obwódek sutki. Uświadomiwszy sobie, że się jej

przygląda, z uśmiechem wsunęła nogi w zrzucone uprzednio pantofelki na wysokich obcasach i z rozmysłem przeszła się wokół stołu.

–Podobam ci się? – zapytała z uśmiechem.

–Taaak – przyznał. – Podoba mi się w tobie wiele rzeczy. Na sekretarzyku coś dla ciebie zostawiłem.

Podawała mu drinka. Owionął go jej własny zapach zmieszany z perfumami.

–Pachniesz nadzwyczajnie.

Na jej twarzy pojawiło się rozbawienie, zrobiła kokieteryjną minę.

–Prawisz mi komplementy, jakbyś czegoś potrzebował. Cóż to, handel nie idzie i chciałbyś pracować dla mnie? – Odwróciła się z zaciekawieniem ku sekretarzykowi. – Panie Boże... – westchnęła, gdy otworzyła małe pudełko.

Były w nim kolczyki. Znalazł je w katalogu najsłynniejszej praskiej firmy złotniczej. Kamienie, sześć brylantów od jednego do pięciu karatów, przywieziono wprost z Amsterdamu.

–Jak leżą w tym etui, nie widać efektu. Załóż je – zachęcił Klarę.

Radosne wzruszenie mieszało się u niej z niepewnością, której nigdy przedtem nie widział. Zastanawiał się, czemu to zrobił. Nie chodziło o pieniądze. Po czterech wyprawach miał na koncie ponad sześćdziesiąt milionów. Richter sprzedawał towar za granicą, ceny więc nie spadały, wszyscy byli zadowoleni. Starał się kupić własne sumienie? Usilnie pracował, żeby zniknąć z tego świata, ale jej nic o

tym nie powiedział. Ona też nic nie mówiła. Jakieś drobiazgi dotyczące podróży służbowych, parę historyjek z dzieciństwa i młodości. Odpowiadało mu to, a i jej widać też. Wyczuwał w niej samodzielność, energię, pewną surowość, którą okazywała innym, ale nie jemu.

–Jak wyglądam?

Odwróciła się, brylanty w uszach mieniły się i błyszcząły. Tak samo jak jej oczy.

Kova w nagłym przeblysku uświadomił sobie; że nigdy już nie będzie piękniejsza. Nigdy więcej nie zejdzie się ze sobą tyle miłych okoliczności w tym samym czasie.

–Jak królowa królowych, a przy tym jak najbardziej pożądana

kobieta pod słońcem. Podeszła do łóżka, uklękła nad nim, otarła mu się łonem o podbrzusze. Na piersi poczuł dotyk sutków. Była podniecona, on również. Obudził się, gdy wstała z łóżka. Nie chciał usnąć, ale kochali się tak namiętnie, że kiedy się potem do niego przytuliła, zmęczenie go przemogło. Teraz spod wpróżymkniętych powiek obserwował, jak ostrożnie podchodzi do szafy, gdzie naumyślnie schował walizeczkę. Tę, którą brał ze sobą do

Czeskich Budziejowic, dokąd kurier przysłany przez Vermirowskiego przywiózł mu koordynaty nowych okien do Palmowego Świata. Zatrzymała się przed walizeczką i z wahaniem odwróciła ku niemu. Nie był pewny, ale zdawało mu się, że w świetle nocnej lampki jej oczy lśnią jak reflektory. Pokręciła głową, jakby chciała pozbyć się

wątpliwości, kucnęła i ostrożnie otworzyła walizeczkę. Jak zwykle znajdowały się w niej koordynaty, ale tym razem dotyczące okien, z których w obecnych okolicznościach nie mogli skorzystać. W dodatku prowadziły do innego miejsca niż to, gdzie już czterokrotnie byli. Nie chciał niepotrzebnie ryzykować. Widział, jak Klara studiuje kolumny liczb i rysunki. Albo miała fotograficzną pamięć, albo schowała gdzieś mały fotoaparat. Wychodziło na jedno. Zamknął oczy, żeby przespać resztę nocy. To, że Klara pracuje dla tajnej policji, uświadomił sobie już wtedy, gdy się pierwszy raz kochali. Jej perfumy, z bliska tak oryginalne i intensywne, przypomniały mu chwilę, gdy strażnicy wyprowadzali go z więzienia. Musiała stać blisko otwartych drzwi, a on wtedy po raz pierwszy poczuł jej zapach.

Niebo, piekło i piekło raz jeszcze

Słońce prażyło jak zawsze, gdy się tu pojawiali. Brezent umocowany na dziobie chronił łódź przed nabraniem wody. Ludzie zaczęli wiosłować, zanim jeszcze na dobre się usadowili. Nikt już nie brał ze sobą nowocześniejszej broni ani ubrań, wszystko to w Palmowym Świecie niszczało niewiarygodnie szybko. Jerzyk zadowolony się maczetą i dwoma pistoletami skałkowymi za pasem, inni dawali pierwszeństwo rusznicom lub nawet kuszom. Sam Kova uparł się, by skombinować działko z brązu. Wyglądało niepozornie, ale musieli je wlec dwaj lub trzej ludzie. Wszyscy narzekali, że to głupi pomysł, i dlatego nie odpuścił, póki nie zmusił ich, by nauczyli się z tego strzelać. Zamiast kul używali kawałków żelaza zebranych na złomowisku, a po serii ćwiczeń potrafili trzecim strzałem pokryć kartaczami określony obszar.

Brzeg przybliżał się szybko, fale tym razem były większe niż zwykle, lecz dzięki poprzednim doświadczeniom łatwo sobie z nimi poradzili. Pod kilem zazgrzytał piasek, wszyscy jak na komendę wyskoczyli z kanu i popchali je głęboko na plażę. Kolejna fala pomogła im, oszczędzając kilku metrów uciążliwej pracy.

–Krak, Val, my trzej bierzemy działko i proch, inni ekwipunek! – zawołał Kova.

Zrobił minę, jakby nie słyszał pełnego niezadowolenia szemrania. Dobrze pamiętał zardzewiałe niemieckie odznaczenie znalezione w piasku i często rozmyślał, co też przytrafiło się jego właścicielowi.

Nie kierowali się już prosto ku plaży, ale trochę w bok, ku ujściu potoku. Płaskie wybrzeże tworzyło tam zagłębienia, w których palmy rosły prawie do samego morza.

–Co to jest? – zapytał jeden z ludzi, podnosząc z piasku błyszczącą blaszkę.

Jerzyk zabrał znalezisko i podejrzliwie je obejrzał. Kova tymczasem ładował armatkę i sprawdzał, czy proch strzelniczy nie zamókł.

–Coś na kształt nieśmiertelnika, psi identyfikator, jakie nosi się w armii. Tyle że zamiast nazwiska są tu tylko litery EF i liczba.

–To może tu leżeć cholernie długo – zauważył ktoś.

Kova wiedział, co stało za tą uwagą. Ludzie bali się, że odwoła akcję. A każdy chciał dostać swój udział.

Znowu mignęło mu wspomnienie starego odznaczenia. Ta blaszka wyglądała jednak na nową. Tylko że on również potrzebował pieniędzy, a tajne służby, dla których pracowała Klara, lub kontrwywiad, na który uskarżał się Richter, nie

zostawią ich w spokoju na długo.

–Rozdzielcie się na dwie grupy robocze, reszta będzie czuwać – rozkazał. – Na warcie przy łodzi zostanie jeden człowiek.

Jerzyk popatrzył na niego nieprzyjaźnie, ale nie zaprotestował.

Kova miał świadomość, że jak dotąd bezproblemowa współpraca wkrótce się skończy. Obaj wiedzieli swoje o dowodzeniu, ale Kova był ostrożniejszy i bardziej skupiał się na planowaniu.

Maszerowali przez gaj palmowy nieco bardziej nerwowo niż ostatnio, chcąc się dostać do obszaru, gdzie jeszcze nie zbierali orzechów. Skradali się po cichu, ściskając w rękach prymitywną broń palną, maczety, niektórzy stare miecze. Kova uświadomił sobie nagle, że bardziej przypominają piratów niż ludzi dwudziestego pierwszego wieku. Teren unosił się łagodnie, jak zawsze w głąb lądu. Nigdy jeszcze nie zapuścili się za wzniesienie zakrywające im widok. Nie miało to większego sensu, powodowałoby tylko niepotrzebną zwłokę i rozproszenie sił. Mimo to sam chętnie by tam zajrzał.

W końcu dotarli do pierwszych palm uginających się pod ciężarem dojrzałych orzechów. Z ich nadejściem umilkły wrzaski papużek i granie niewidocznych cykad.

Kova miał nieprzyjemne wrażenie, że otacza ich nienaturalna martwota, choć i przedtem było tu dziwnie cicho. Wielki jak męskie przedramię czerwono-zielony ptak zerwał się z gałęzi, przeleciał na inne drzewo, ale zanim usiadł, rozmyślił się i wrócił z powrotem.

–Do roboty! – zawołał Jerzyk.

Kova jak zwykle wybrał się na patrol, ale im głębiej szedł w las, tym bardziej nieprzyjemne przecucie narastało. Kiedy znalazł się w miejscu, gdzie jeszcze nigdy nie był, w pewnym oddaleniu od ekipy zbierającej orzechy, zauważył fragment darni jakby wydarty nogą. Grunt zdawał się bardziej suchy, wystarczyło więc, żeby ktoś się

potknął, zawadziwszy o ziemię czubkiem buta. Ścierpl, odwiódł kurek broni i rozejrzał się ostrożnie. Ktoś tędy przechodził, wcale nie tak dawno. Bezzwłocznie zawrócił i szybko ruszył w kierunku ludzi. Przemykał od drzewa do drzewa, przez otwarte obszary przebiegał nisko pochylony.

–Mamy towarzystwo – oznajmił, gdy dotarł na miejsce.

Trzasnęły napinane kurki, ludzie instynktownie odwrócili się plecami do siebie, ku niewidocznemu nieprzyjacielowi.

–Trzeba by tego nabrać dwa razy tyle co zwykle. Nie wiadomo, czy w przyszłości będzie tu taki porządeczek. – Jerzyk spojrzął na Kova wyzywająco.

Kova zdawał sobie sprawę, że go nie przekona, tak samo zresztą jak innych. Wszyscy pragnęli zgarnąć jak najwięcej towaru, tym bardziej że nie mieli pewności, czy wypad nie okaże się ostatnim.

–Możemy się tu nawet przespać, też by nie zawadziło – przytaknął, zamiast protestować.

Wiedział, że w ten sposób zmusi ludzi do większego pośpiechu. Nikt nie chciał

zostawać w nieznanym świecie dłużej, niż to konieczne.

Przez następną godzinę praca postępowała bez przeszkód, ale Kova miał oczy nieustannie otwarte. Kiedy ujrzał na niebie stado spłoszonych ptaków, wiedział, że już czas. Ktoś się zbliżał.

–Koniec roboty, przyszykować się do obrony! – zawołał.

Jednocześnie z gęstwiny wynurzył się łysy olbrzym z głową i cielskiem rozwścieczonego Hulka. Bardziej niż płaskie oblicze z szerokim, mięsistym nosem, przypominającym pług, czy bycza szyja zdenerwowała Kova broń, jaką trzymał w ręce – automat z nieprzyjemnie wielkim magazynkiem i dodatkową śrutową lufą.

–Jestem Bertram, ale znajomi nazywają mnie Chuck Dwa. Mam nadzieję, że rozumiecie, co mówię, chłopcy, bo nasza lingwistka została nieco w tyle. Teraz ja tu dowodzę – przemówił doskonałą angielszczyzną.

Dla podkreślenia swoich słów puścił krótką serię nieco w bok, aby nikt nie miał wątpliwości co do siły rażenia jego broni.

–Wy tam, na drzewach, możecie zostać, reszta odłóż broń, gdy tylko powiem „teraz"! Kto tego nie zrobi, zostanie zastrzelony. – Wykrzywił twarz. – A więc... teraz!

Kova pierwszy odłożył pistolety skałkowe, inni z wahaniem poszli za jego przykładem, ale jeden nie zrozumiał, co jest grane, lub zrozumieć nie chciał. Trzymał swoją rusznicę, jakby nie mógł się pogodzić z tym, że pokonał ich jeden człowiek.

–Teraz – powtórzył Bertram zwany Chuckiem Dwa i strzelił mu w nogę.

Trafiony jęknął i zwałił się na ziemię. Kova zacisnął usta.

–Nie podoba ci się to, co? Jestem sam, a was jest dużo. Muszę mieć posłuch – Bertram zwrócił się wprost do niego.

Kova zdawał sobie sprawę, że facet ma rację.

–Wtrąciłem się, bo nie chciałem, żebyście się z tymi swoimi zabaweczkami zaczaili na moich chłopaków. Pewnie by nie zaszkodziło dać wam nauczki, ale jesteśmy dobrymi gospodarzami, więc musimy zachowywać się stosownie – kontynuował monolog, wodząc wzrokiem po gromadce przed sobą. – Dobra, połóżcie się na ziemi z rękami na karku. Zasadę już znacie. Teraz.

Wszyscy posłuchali. Kova uświadomił sobie, że Jerzyka nie ma między nimi, musiał się ulotnić na samym początku, gdy spostrzegł spłoszone stado ptaków. Ucieczka nie była w jego stylu, raczej próbował coś wykombinować.

Z gęstwiny wynurzyli się kolejni ludzie. Kova naliczył czterech mężczyzn i jedną kobietę, wszyscy w kombinezonach maskujących, uzbrojeni w nowoczesną broń. Mieli też inne wyposażenie.

–Znalazłem tu gromadkę przemytników w akcji, ale już są unieszkodliwieni, trzeba ich tylko pięknie związać i odstawić -zabrzmiał zadowolony głos Bertrama.

–Odczytałeś im prawa? – zapytał jeden z przybyłych.

–Nie mają żadnych – odpowiedział wielkolud z uśmiechem. – Lepiej przeszukajcie teren, czy mi aby który nie zwiął. Aha, Khunie, jednego postrzeliłem w nogę. Rzuć na niego okiem, żeby się nie wykrwawił.

To nie byli ludzie z tego świata, w którym sam teraz przebywał, osądził Kova. Ekwipunek przypominał wyposażenie z jego własnej rzeczywistości, choć nie do końca.

–Zwiążcie ich! – krzyknął Bertram.

–Mówicie po angielsku? – odezwała się kobieta, a potem powtórzyła pytanie w piętnastu językach, od łaciny przez portugalski i chiński aż po języki, których Kova nie potrafił zidentyfikować. Była uzbrojona, lecz automat zwiął swobodnie z ramienia i raczej przeszkadzał nieznanym.

–Rozumiem angielski, ale mówię po czesku – oznajmił jeden z leżących na ziemi mężczyzn.

–Wstań, nałożymy ci bransoletki – nakazał Bertram Valowi, a ten natychmiast posłuchał.

Kajdanki szczęknęły. Kova wiedział, że jeśli mieli czegoś spróbować, musieli zrobić to szybko, tylko że stali naprzeciw luf trzech automatów.

–Poddajcie się! – ryknął gdzieś z boku Jerzyk.

Kova spojrzął w lewo. Nie widział współnika, dostrzegł tylko brązową lufę wystającą zza drzewa. Panie Boże, to będzie masakra, pomyślał i przycisnął głowę jak najmocniej do podłoża. Wiedział, że Chuck, Bertram, czy kto to właściwie jest, na pewno się nie podda.

Mężczyźni jednocześnie skierowali automaty w stronę głosu. Kovaowi wydało się, że widzi migoczący płomień. Jerzyk się nie zawahał.

–Na ziemię! – ryknął Kova.

Zaszczekała pierwsza seria, a później zagrzmiało działo.

Powietrze zszarzało od wyrzuconej gliny i dymu ze strzelniczego prochu. Jerzyk nie wycelował dokładnie, trafił tylko Bertrama i jednego z przemytników, Vala. Obaj leżeli na ziemi posiekani kartaczami, kompani Bertrama stali zszokowani. Huknął strzał z muszketu, Kova rzucił się do przodu, wyrwał automat jednemu z napastników, obalił go na ziemię i wymierzył do drugiego, trzymającego się za krwawiące ramię. Kątem oka dostrzegł, że z tyłu Jerzyk powalił innego nieprzyjaciela uderzeniem kolbą.

–Nie zabijaj go! Mam ich pod kontrolą! – krzyczał, rozbijając równocześnie rannego i rozglądając się za piątym mężczyzną.

Lingwistka z przestachem patrzyła na ciało Bertrama i nie miała zamiaru stawiać oporu.

–Który z was jest Khun? – zapytał Kova. Rękę podniósł mężczyzna, którego zwał z nóg.

–Zajmij się rannymi.

–Znajdziemy was! To wam nie ujdzie na sucho! – wściekał się

postrzelony.

Jerzyk wrócił, niosąc na ramieniu bezwładne ciało.

–Walnąłem go trochę za mocno, ale chyba oddycha.

Kova omiół spojrzeniem nieprzyjaciół. Jeden zabity, jeden

nieprzytomny, kolejny lekko ranny, pozostali wydawali się pogodzeni z porażką.

Karta się odwróciła, ale mimo to im prędzej stąd znikną, tym lepiej.

–Mamy dość orzechów? – zapytał rzeczowo.

–Taa, prawie pełny ładunek – wyszczerzył zęby zadowolony Jerzyk.

–Wynosimy się stąd. Jeśli mają gdzieś więcej ludzi, to są pewnie tuż obok. – Kova podał Jerzykowi jeden z automatów.

–Niech odpłacą za Vala! Nie żyje! – zaprotestował Vlam.

–Val zginął, bo był głupi. – Jerzyk odwrócił się i wymierzył automat w kierunku protestującego mężczyzny. – To dziwne, że ich ekwipunek działa, a nie rozlatuje się jak nasz. Gdyby Val się położył, jak kazał John, pewnie by przeżył – wrócił do poprzedniego tematu.

–Do łodzi, jak najszybciej! – zakomenderował Kova, zanim Vlam zdążył znów otworzyć usta. – Nie zapominajcie o udziałach. Jak nie będzie ładunku, nie będzie kasy. Przypilnujesz wszystkiego? – odwrócił się do Jerzyka. – Ja się zajmę tymi obcymi, dopóki wszystko nie będzie przygotowane. Dołączę na końcu.

–A nie boisz się, że cię tu zostawimy? – Jerzyk zrobił taką minę, jakby tylko żartował.

–Nie – odparł Kova spokojnie. – Beze mnie nie macie koordynat.

–Zawsze mówiłem, że z ciebie faktycznie jest sprytny chłopak! – wyszczerzył zęby Jerzyk. Przekroczył nad ciałem Bertrama i podniósł wiklinowy kosz, który najlepiej nadawał się do przenoszenia orzechów.

Kova został sam z czwórką jeńców. Kobieta zdążyła się uspokoić, tylko oczy miała wilgotne. Ciągle zerknęła na zabitych: Bertrama i Vala, którego ciało Jerzyk porzucił bez ceregieli.

–My byśmy was nie zabili – powiedziała nagle łamiącym się głosem. – Pracujemy dla agencji, mamy swoje zasady. Dostalibyście od nas ostrzeżenie, a potem zawrócilibyśmy was z powrotem do waszego świata. Jeśli według miejscowego prawa przemyt między światami jest karalny, przekazalibyśmy was lokalnym organom ścigania.

–Miał broń, strzelił do jednego z naszych. Wtedy tak to się kończy – odpowiedział miękko Kova. – Możecie się stąd wydostać?

–Tak. Nawet jeśli Fred nie zaalarmował naszych, i tak za dwanaście godzin zjawi się zespół awaryjny. To był tylko rekonesans, tego świata jeszcze nie znamy. Dostaliśmy się tu przypadkiem.

–Nic mu nie mów, zasrańcowi jednemu! – szczeknął ranny. – Jeszcze się z nimi policzymy.

Kova nie odpowiedział. Rozumiał, co żołnierz czuje.

–Zostawię waszą broń na brzegu – oznajmił, nie zwracając się do nikogo konkretnego. – Jeżeli ktoś będzie za mną szedł, zastrzelę go i nie zostawię wam nic. Powodzenia! – życzył im uprzejmie.

W drodze powrotnej rozmyślał, co to spotkanie dla nich oznacza.

Niewykluczone, że będą mogli znowu zaryzykować wyprawę, bo okna prowadziły nie tylko w różne miejsca, ale i różne czasy. Spotkanie z jednostką tej akurat agencji mogło stanowić wyłącznie nieprzyjemny zbieg okoliczności. Po prostu jedna krótka zapalka w zestawie długich. Najchętniej wypytywałby ich dłużej, ale wiedział, że dziś nie ma na to czasu. Blisko brzegu powiesił na gałęzi dwa automaty, opróżnił magazynki, a naboje porzucił w pobliżu. Później pobiegł ku łodziom, które już czekały na wodzie. Ledwie zdążył wsiąść, ludzie bez zachęty zaczęli wiosłować. Ponieważ dostali się tutaj w specyficzny sposób, podczas drogi powrotnej musieli utrzymać pewną minimalną prędkość, bo inaczej Marzik miałby poważne trudności, żeby ich ściągnąć.

–Dobrze, że mamy to za sobą. Musnęło nas o włos – rzekł Kato siedzący na ławce przed Kovaem. Źle machnął wiosłem i oblał słoną wodą wszystkich dookoła. Nie padły żadne przekleństwa, wszyscy się tylko przygarbili i nagle już byli na miejscu. Światy się zmieniły, znów poczuli powiew lodowatego wiatru w wagonach towarowych ciągniętych za ekspresem.

–Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej – westchnął z ulgą Kato.

Chwilę później jego korpus eksplodował, a krew zmieszana z wnętrznościami i kawałkami kości oślepiła Kova. Dopiero teraz usłyszał dudnienie ciężkiego kaemu. Instynktownie wytoczył się z kanu.

–Nie strzelajcie do łodzi! Mają tam ładunek za sto milionów, kurwa mać! – ktoś zaryczał.

Dopiero teraz Kova spostrzegł drezynę pędzącą równoległe do nich po sąsiednim torze. Pierwsi napastnicy już przeskakiwali na ich pociąg, inni zbliżali się po dachach wagonów. Równocześnie z Jerzykiem zaczęli grać ze zdobycznych automatów. Broń nie miała prawie żadnego odrzutu, Kova ciągnął długimi seriami, precyzyjnie. Szereg napastników zalał się krwią, martwi i ranni spadali na tory, ginęli pod żelaznymi kołami.

–Nie wolno dopuścić, żeby nas odczepili! To pułapka! – ryczał Rorys. – Idę kryć Marzika!

Ostatnimi nabojami wyciął sobie drogę do końcowej platformy, na którą starali się właśnie wdrzeć napastnicy z drezyny. Wielu przeżyło zabójczą strzelaninę, chroniąc się za stalowymi ściankami.

Kova jedną ręką strzelał, zmuszając wrogów do pozostania w ukryciu, drugą zaś namacał skrzynię przytwierdzoną do platformy obok łodzi. Otworzył ją, na chybił trafił wyciągał broń i rzucał ludziom w kanu. To już nie były muszkiety czy inne średniowieczne graty, ale karabiny, śrutówki i pistolety.

Kiedy skończyły mu się naboje, odrzucił bezwartościowy już automat i sięgnął po własną broń. Wykorzystując krótką chwilę spokoju, przeskoczył na pierwszy wagon osobowy i strącił napastnika złażącego z dachu. Odwrócił się i dostrzegł Marzika,

który samotnie stawiał czoła fali wrogów nadciągających w drugiej dreźnie. Jechała po tym samym torze co ich pociąg i znajdowała się nie dalej niż o dwadzieścia metrów od celu. Jeden z atakujących wstał, w ręce

trzymał karabin z lunetą. Marzik wyciągnął ku niemu dłoń, jakby chciał go złapać za kark, twarz miał zniekształconą wysiłkiem. Strzelec puścił nagle broń i zaczął zrywać z siebie kurtkę, jakby go dusiła. Mężczyzna obok niego strzelił do czarodzieja, ale chybił, a chwilę później wydał stłumiony jęk, obrócił się i zaczął naparzać do swoich. Niespodziewanie Marzik padł na kolana, z ust i nosa pociekła mu krew. Szaleniec natychmiast przestał masakrować towarzyszy. Czarodziej wściekle machnął ręką w stronę dreźny, czyjaś czaszka eksplodowała jak granat. Kova z wysiłkiem oderwał wzrok od czarodzieja. Zrobił to we właściwym momencie, bo przejściem między ławkami pędził ku niemu wielki dryblas. W ręce podskakiwał mu rewolwer, kule uderzały o żelazne ściany wagonu. Przerażeni podróżni krzyczeli ze strachu. Kova skulił się i czekał. Oddać celny strzał w jadącym pociągu było niemal niemożliwością. Teraz. Wyrzwał z głową nisko przy ziemi. Dryblas był już ledwie o trzy kroki od niego i ładował do rewolweru sześć kolejnych naboju. Kova strzelił, celując w brzuch, i szybko wydzwignął się na dach. Napastnicy już nie próbowali odczepiać wagonów towarowych. Dostrzegł, jak po dachach zbiegają ku lokomotywie.

Ruszył za nimi. Wiatr go ogłuszał, wagony trzęsły się pod nogami. W pewnej chwili upadł i uratowała go tylko przyspawana do ściany drabinka dla czyścicieli pociągu. Wiedział już, że ich nie dogoni, dotrą na miejsce dużo wcześniej od niego. Ukląkł, uchwycił rewolwer obiema dłońmi. Przy czterocalowej lufie, na dachu poruszającego się pociągu strzał był bardzo niepewny. Koło ucha

gwizdnęła mu kula. Pierwszy pocisk zniósł w lewo, drugi poszedł za bardzo w górę, trzeci trafił najszybszego z napastników, zanim ten przeskoczył na lokomotywę, ostatni drasnął jego kompana. Facet mógł wprawdzie posuwać się dalej, ale zamiast tego przywarł do dachu.

Kova położył się na plecach, wyrzucił łuski, napełnił bębenek nowymi nabojami i jednym ruchem zatrzasnął. Niebo wisiało nisko, zdawało się, że chmury defilują nad pędzącym pociągiem jak na paradzie.

–Wycofujemy się, wycofujemy! – krzyczał ktoś. – Poczekamy na kratucha!

Kova odczuł ulgę, wyglądało na to, że odparli atak. W chwilę później ujrzał, jak z chmur wyłania się ciemny kształt przypominający deltoid. W pierwszej chwili pomyślał, że to samolot, ale bestia okazała się żywa. Płynęła w powietrzu jak gigantyczna raja, grawitacja dla niej nie istniała. Podniósł broń. Zjawisko wydawało się pochodzić prosto z koszmaru. Co to jest? Zaciekawione hałasem zwierzę, czy też pomoc dla nieprzyjaciół?

Odpowiedź uzyskał natychmiast. W cielsku stwora pojawiły się dwa punkty jarzące się oślepiającym światłem. Oczy? Klasyczny płonący wzrok, stwierdził Kova. Myśl jeszcze nie zdążyła w pełni wybrzmieć, gdy strzelił błysk. Ostatni wagon osobowy został trafiony i zaczął się palić, jakby był z papieru. Następny wystrzał powietrznej płaszczyki okazał się dokładniejszy, z łatwością oddzielił platformy

towarowe od wagonów osobowych. Kova, na którego nikt teraz nie

zwracał uwagi, wycelował w stwora i wywalił do niego wszystkie sześć nabojów, jeden po drugim. Deltoid wydał wysoki, przykry dla uszu skrzek, prawie na granicy słyszalności. Wykręcił wydłużoną ósemkę i skierował się ku sprawcy cierpienia. Kova sięgnął do kieszeni. Namacał zasobnik z nabojami, ale na nieszczęście w środku znalazł tylko dwa.

Bestia znów otworzyła żarzące się płomieniami oczy, tym razem jeszcze szerzej. Błysnęło, pociąg wpadł na zwrotnicę, wytrysk energii rozpruł dach tuż obok Kovaa. Metal żarzył się i roztopiał. Kova przeturlał się dalej od piekielnego gorąca. Dwa ostatnie strzały. Wypluta z trzewi potwora płonąca powódź zmieniła wagon w bulgoczącą, zapadającą się masę blachy. Zrobiło się czarno. Wjechali do tunelu. Kova nadal leżał, poparzony i bezbronny, miał tylko kilka sekund, żeby jakoś wybrnąć z beznadziejnej sytuacji. Przed oczami pojawił mu się obraz ciała leżącego na dachu wagonu przed nim. Może przy trupie była jakaś broń. Ostatnie chwile lodowatego wichru pod sklepieniem tunelu i wyjechali na zewnątrz.

Kova zerwał się i pobiegł, nie bacząc na ryzyko upadku. Czuł, że już spada na niego rozżarzona lava, przeskakiwał płonące żelazo, z okien pociągu buchały płomienie. Wreszcie dotarł do właściwego wagonu. Skoczył ku trupowi, pod bezwładną ręką spoczywał kanciasty pistolet, czterdziestkapiątka. Przetoczył się na plecy, ujrzał, że niszczycielskie oczy potwora znów się otwierają, dwa błękitno-białe pulsujące wgłębienia. Pistolet był naładowany i odbezpieczony. Ujął go w obie ręce, wymierzył i nacisnął spust. A potem znów i znów, póki starczało kul. Błękit oślepił jak płomień palnika acetylenowego i stale się przybliżał.

Wraz z ostatnim wystrzałem usłyszał upiorny trzask i potwora już nie było, zniknął w jednym rozbłysku. Albo naprawdę wyrządził mu krzywdę, albo po prostu celny ostrzał z rewolweru, a później z wielkiego pistoletu trochę mu się sprzykrzył.

Najważniejsze, że

zniknął. Kova na niepewnych nogach zszedł z dachu i zaciągnął hamulec ręczny.

Gniewni i źli

Siedzieli z Richterm i Jerzykiem w „Kmotrze”, przed każdym stała szklanka wina. Kova padał ze zmęczenia, Jerzyk też nie wyglądał najlepiej, ramię miał zabandażowane. Udało im się zgarnąć i zabezpieczyć ładunek, zanim na miejscu pojawiła się zdezorientowana policja. Musieli jednak zostawić zabitych.

–Kłapa – wyrwało Kovaa z półsnu głośniejsze słowo. – Ośmiu zginęło – dodał pochmurny Richter i wypił na raz pół szklanki.

–Uratowaliśmy ładunek, udziały zabitych rozdzielimy między pozostałych chłopaków. Jeśli wykradniemy z kostnicy zwłoki, nie znajdą nas – wyszczerzył zęby Jerzyk.

–Kova podziwiał jego niewyczerpaną energią życiową.

–Bardziej mnie interesuje, co to za jedni na nas napadli. To nie była ani policja, ani wojsko.

–To właśnie stanowi największy problem – rzekł Jerzyk poważnie.

–Słowacy, gang Garzocha. Ktoś im dał cynk i dokładnie poinformował, ile tam

będzie towaru – odpowiedział ze znużeniem Richter. – Nie pojmuję tego. Wszyscy, którzy siedzą w interesie, do końca życia nie muszą kiwnąć nawet palcem. Dranie po prostu nie mogli zaoferować więcej – sarknął, prawie obrażony.

Kova wiedział, że mogli, ale się nie odezwał.

–Najchętniej skończyłbym z tym, ale teraz już za późno! Wziąłem zadatki od kolejnych odbiorców.

–Co to było, to latające straszidło? – chciał się dowiedzieć Kova.

–Pieszczoch Garzocha. Podobnego pochodzenia co tygrysy Armitusa.

Kova tylko kiwnął głową. Rzeczywistość i wszystkie pozory normalności rozsypywały mu się przed oczami. Tak jakby ten jeden jedyny przeskok ze świata do świata skazał go na życie wśród widm, latających bestii i czarodziejów zdolnych zabić wzrokiem. Oraz dziesiątek ludzi umierających na torowisku.

–Umówmy się na jutro, ciężko dzisiaj myślę – zakończył rozmowę.

–O ile nas do tego czasu nie przymknie policja – dodał Jerzyk sarkastycznie.

Kova wiedział, że nie przymknie. Tajne służby miały co do nich swoje plany i oczywiście nie zamierzały łapać cywilów, żeby nie pomieszać sobie szyków.

Wsiadł do taty i ze znużeniem oparł głowę o kierownicę. Brakowało mu telefonu komórkowego. Gdyby go miał, zadzwoniłby do Klary i pojechał do niej do domu. Potrzebował towarzystwa, a w tej chwili było mu obojętne, że jego kochanka pracuje dla policji. Przed oczami wciąż miał zmasakrowane ciała, Bertrama posiekanego na kawałki, napastników, których sam utopił we krwi... Inaczej się nie

dało, ale nie znosił niepotrzebnego zabijania. Zapуścił silnik i ruszył. Znużenie spowodowało, że zatrząsł się z zimna. I chociaż na zewnątrz był wilgotny czerwcowy wieczór, zostawił okna zamknięte i włączył ogrzewanie. Auto pracowało prawie niesłyszalnie, za oknami leniwie przesuwano się nocne miasto, a ciemność miłosiernie skrywała jego paskudne strony. Mógł przynajmniej udawać, że jest w domu.

Zatrzymał się na czerwonym i czekając na zmianę świateł, bezmyślnie patrzył przed siebie. Nagle na granicy pola widzenia, z lewej, dostrzegł ruch. Odwrócił się i spojrzał w czarny wylot lufy pistoletu. Za sterczącą nad nią muszką mgliście majaczyła wykrzywiona nienawiścią twarz Leuheka. W jednej chwili pojał, kto ich zdradził i dlaczego. Nienawiść bywa lepszą motywacją niż pieniądze.

Leuhek coś mówił, ale Kova go nie słyszał. Wiedział, że nie zdąży dać gazu ani się ukryć. Ruch palca na spuście dostrzegł natychmiast. Prask. Po szybie rozbiegła się pajęcza sieć pęknięć, kuloodporne szkło wytrzymało.

Kova puścił sprzęgło, dwunastocylindrowy silnik rozpędził się jak wygłodniałe monstrum i tatra wystrzeliła do przodu. Prask, prask, Leuhek zdołał sportowym wozem utrzymać się za nim i cały czas strzelał. Kova musiał przyznać, że facet zna swój fach. Trafiał całkiem często, co było nie lada wyczynem podczas jazdy. Pędzili już po nabrzeżu. Kova zбочzył nieco w lewo i przyhamował, żeby jego prześladowca zdołał się z nim zrównać. Jechali teraz obok siebie, Leuhek prowadził jedną ręką, w drugiej trzymał pistolet. Kova nie

dał mu szansy na następny strzał. Nieznacznie poruszył kierownicą, przywarł do auta Leuheka i jednym ruchem zrzucił je do wody. Potem zatrzymał się na poboczu,

wysiadł i obserwował ciemną rzekę. W miejscu, gdzie zniknęło porsche, pojawiały się bąble powietrza, ale jego prześladowca nie wypłynął na powierzchnię.

–Strzelać to może i umiał, ale był idiotą. Przepychać się z autem, które waży cztery tony... – mruknął, wszedł i odjechał.

Czuł, że potrzebuje się wyspać, odpocząć i pomyśleć, co dalej.

Machinalnie wsunął klucz do drzwi mieszkania, które przez ostatni tydzień uważał za swój dom. Umieblowanie zlecił specjalnej firmie, ale jeden pokój zdążył urządzić po swojemu, a teraz cieszył się na myśl o prysznicu, drinku na dobranoc i łóżku. Przekroczył próg i zdał sobie sprawę, że popełnił błąd. Ze zmęczenia zapomniał o ostrożności. W powietrzu unosiło się mnóstwo cudzych zapachów, a i cisza brzmiała inaczej.

–Wiemy, że z pana ostry chłopak, ale nie ma pan szans – chłodny głos zmroził go w połowie ruchu, gdy ręka zmierzała po rewolwer.

Równocześnie zapaliło się światło. Stał pomiędzy trzema mężczyznami, za sobą wyczuwał czwartego. Wszyscy mieli broń i mierzyli do niego. Błyskawicznie ocenił, że są dobrze ustawieni i jeden nie zagraża drugiemu. Profesjonaliści.

–Napijcie się kawy? Lub czegoś mocniejszego? – zapytał spokojnie.

Mężczyzna, który do niego przemówił, miał siwe krótkie włosy, wąsy i cerę ogorzałą od długiego przebywania pod gołym niebem. Pokręcił głową.

–Niech pan nie próbuje ze mną swoich sztuczek. Zabiliście mi człowieka, a ja czuję przemożną chęć, żeby pana zastrzelić, właśnie teraz i właśnie tutaj.

Kova uświadomił sobie, że siwowłosy jest zdolny spełnić groźbę, ale pokręcił tylko głową.

–Pan jest z tej dziwnej agencji – skonstatował. – Mamy to załatwić teraz?

–Zrewidujcie go – rozkazał siwowłosy.

Zadania podjął się śniady facet przypominający nieco Hiszpana

lub Meksykanina. Metr osiemdziesiąt dwa, mocno zbudowany, sprawiający

wrażenie pewnego swoich możliwości. Ręce nadmiernie muskularne i silne, jakby należały do chłopca jeszcze o trzydzieści centymetrów wyższego i o tyleż kilogramów cięższego. Nie był urodziwy, ale dbał o sylwetkę – z pewnością potrafił przyjąć cios i oddać z jeszcze większą siłą. Kova poczuł, jak go lekko dotyka, jakby chciał sprawdzić twardość mięśni. Rewolwer odebrał mu natychmiast, znalazł również nóż sprężynowy i zapasowego browninga nad kostką nogi. Podczas rewizji uważał, by nie znaleźć się w niedogodnej pozycji. Kova wiedział, że bez jakiegoś niebywałego uśmiechu losu nie ma z nim żadnych szans, nawet sam na sam. To był doświadczony bojownik, znał się na swojej robocie.

–Możliwe, że coś mi umknęło. Zobaczymy – podsumował wynik rewizji. – Ale tylko jeśli ma to naprawdę dobrze schowane. Łatwo się do tego nie dostanie.

–Wystarczy, do naga rozbierać go nie będziemy. Przejdźmy dalej – zarządził siwowłoso.

Kova posłusznie pozwolił się zaprowadzić do własnego pokoju i usiadł na kanapie. Natychmiast poczuł ulgę, oczy zamknęły mu się mimowolnie. Wiedział, że dostanie w twarz, zanim jeszcze poczuł powiew powietrza na policzku.

–Nie będziesz sobie ze mnie robił kpin – zasyczał siwowłoso.

Kova z zaskoczeniem stwierdził, że czwarta osoba, którą wyczuł za sobą, to kobieta. Nosila zwyczajną tweedową sukienkę do kolan, bluzkę z asymetrycznym dekoltem, czółenka na wysokich obcasach i czarne pończochy ze szwem. Jeśli przyszła za mną, musiała się poruszać bosą, pomyślał nagle. To sporo o niej mówiło, tak jak i jej postawa, gdy stała w drzwiach – sprawiała wrażenie rozluźnionej, ale równocześnie gotowej natychmiast zareagować. Azjatycka na pierwszy rzut oka uroda i delikatne rysy mogły wprowadzić w błąd. Na swój sposób była tak samo niebezpieczna jak Hiszpan. Puma i wąż boa, przyszło mu do głowy porównanie.

–Chcę was wszystkich. Wszystkich przemytników – powiedział siwowłoso. – Nie wiem, co ty za jeden ani skąd się tu wzięłeś. Nie prowadzą do ciebie żadne ślady, nie mogę wyniuchać żadnego tropu.

Kova zauważył, jak czarnowłosa i Hiszpan spojrzeli na siebie. Oni w odróżnieniu od szefa coś wiedzieli. To było widać. Może ta czwórka nie była tak świetnie zgrana, jak sądził.

–Za Bertrama chcę wszystkich twoich ludzi. I ciebie, ma się rozumieć. Postaram się, żebyś zgnął w jakimś więzieniu, ale cię nie zabiję. To wszystko, co mogę obiecać.

–Bertram mierzył zbyt wysoko – stwierdził Kova. – Zanim zaczniemy załatwiać nasze sprawy, chcę wiedzieć, z kim rozmawiam. Ja nazywam się John František – Francis, jeśli pan woli – Kova.

Tym razem to nie był policzek, ale uderzenie pięścią. Zdążył targnąć głową i cios ześlizgnął się po kości policzkowej. Pochylenie siwowłosego wykorzystał do uderzenia go prosto w żołądek. Nie miał miejsca ani czasu na zamach, walnął po prostu na siedząco, ale to wystarczyło. Mężczyzna zgiął się wpół. Hiszpan i jego kompan przyskoczyli do Kovaa w okamgnieniu, dotykając dwóch luf studząc jego zapędy. Jeden celował mu w głowę, drugi tam, gdzie kark przechodzi w korpus.

–Ja i Vega normalnie dla pańskiego wydziału nie pracujemy. Jestem tu tylko jako dodatkowa pomoc. Ale u nas w większości przypadków zaczynamy po dobroci i dopiero jak nie idzie, stosujemy dodatkowe metody. Choć nie wiem, jakie zwyczaje panują w pańskim wydziale, panie Wolfgang – powiedziała kobieta, a jej obojętny ton uspokoił sytuację. Siwowłoso zdołał się w końcu wyprostować z twarzą zsiniałą od bólu.

–To niech pani próbuje po dobroci, bo ja bym go teraz zabił.

–Nazywam się Marilyn Morgan, pracuję dla agencji, jak pan już chyba wie. Wydział Przemytu Międzyświatowego – przedstawiła się kobieta. – Moją specjalnością jest rozwiązywanie sytuacji

krytycznych.

Kova pomyślał, że najczęściej używała metody węzła gordyjskiego, tak jak Aleksander.

–Vincent Vega – nawiązał do jej wypowiedzi Hiszpan. O swojej specjalności nie wspomniał, ale dla Kova a sprawa była jasna.

Siwowłosy, nazwany przez kobietę Wolfgangiem, nie przedstawił się, tak jak i czwarty mężczyzna, który wyglądał na jego bezpośredniego podwładnego.

–Nie wiem, o jakiej agencji mówicie. Nie wiem, dlaczego miałbym wam wydawać swoich ludzi, a za śmierć Bertrama nie jestem odpowiedzialny. Przesłuchajcie swoich, to dowiedzie się, co dokładnie wydarzyło się w Palmowym Świecie.

–W Palmowym Świecie! – fuknął Wolfgang. – Już mu nadał nazwę. Zawinił pan przeciw równowadze, przeciw podstawowej zasadzie, od której zależy egzystencja miliardów ludzi w miliardach światów! – ciągnął z wściekłością. – A Agencja – wielka litera na początku słowa była wyraźnie słyszalna – zapewnia utrzymanie tej równowagi. Gdyby nie my, ludzie tacy jak wy już dawno wszystko by zniszczyli.

Kovaowi przypomnieli się nagle Monika i Frank, pracownicy agencji EF. Jak to oni mówili? Equilibrii Ferrarius? Postanowił, że lepiej nie wspominać o tym spotkaniu.

–Jakiej równowagi? – zapytał znowu. – Nie widzę niczego złego w przewożeniu orzechów kokosowych.

–Dla pana ważne powinno być tylko to, że ich przewożenie jest karalne z punktu widzenia prawa tego świata. I zgodnie z nim będzie pan ukarany. Chyba że umożliwi mi pan złapanie pozostałych przemytników. Nam jednak chodzi o to, że orzechy, a ściślej mówiąc, mleko kokosowe zawiera magiczny, aktywny czynnik, który nie należy do tego świata.

–Dlaczego nie należy?

–Ja mu to wyjaśnię – wtrąciła pospiesznie Marilyn Morgan. – Przypuszczam, że oprócz mięśni facet ma też mózg.

Rzuciła Kovaowi pytające spojrzenie.

–Może – zgodził się.

–Nie mamy na to całej nocy – warknął Wolfgang, ale równocześnie machnął ręką na znak zgody.

–Istnieje nieskończenie wiele światów równoległych. Niektóre są podobne, inne na odwrót, nie przypominają niczego, co pan zna – zaczęła Morgan.

Kova z zaskoczeniem stwierdził, że ta kobieta mu się podoba. Ona sama, sposób, w jaki mówiła, jej miękki sopran.

–To akurat jestem w stanie zrozumieć – stwierdził ze znużeniem.

Sam w końcu dostał się do dziwnego świata, albo raczej do nocnego koszmaru.

–W niektórych światach uprawia się magię – ciągnęła, obserwując go.

Przypomniał sobie walkę Marzika z innym czarodziejem i tylko kiwnął głową.

–Ważne jest to, że przemieszczanie obiektu z jednej

rzeczywistości do drugiej może mieć na oba światy niekorzystny wpływ.

–Równowaga jest ważniejsza. Jeśli chodzi o jeden świat, trudno, ale gdyby ten proceder zaczął się na dobre, rzeczywistości pękałyby jak bańki mydlane na wietrze – wmieszał się do wyjaśnień niezupełnie zgodny Wolfgang.

–Masz rację – przytaknęła Morgan – ale ja próbuję tylko wyjaśnić, co robimy i dlaczego. Zasady równowagi sama nie pojmuję. Siwowłosy machnął ręką i poszedł do kuchni. W kranie zaszumiała woda, gdy napełniał szklanę.

–Weźmy na przykład ten świat. – Morgan zatoczyła ręką łuk. – Sam pan stwierdził, że do pewnego momentu był podobny do pańskiego – powiedziała ciszej.

Kova stłumił drgnienie. Kobieta rzeczywiście wiedziała o nim więcej niż siwowłosy.

Zafascynowany słuchał, jak odkrycie hyuaki i jej uprawa w warunkach laboratoryjnych zmieniły całą miejscową rzeczywistość. Na niektóre fakty sam zwrócił uwagę, zaobserwował najbardziej rzucające się w oczy przykłady świadczące o zaniechaniu użycia i rozwoju nowoczesnej technologii, ale było ich o wiele więcej.

–Według opinii naszych ekspertów zmieniają się stosunki ogólnospołeczne. Rozwój i coraz intensywniejsze wykorzystywanie magii powodują, że kultura na tej planecie z pewnością wróci do czasów średniowiecza. Za sto lub dwieście lat społeczeństwo będzie podzielone na kasty, można się spodziewać wybuchu wielkich wojen, klęski głodu, zdziesiątkowania populacji. A wszystko dlatego, że nie upilnowaliśmy jednego okna do innego świata i zdolności czarodziejów rozwinęły się daleko poza poziom ewolucji, do którego miejscowa ludność była przyzwyczajona – zakończyła wyjaśnienia Marilyn Morgan.

–Skoro wam się tu nie powiodło, dlaczego nie udostępnicie hyuaki i innych substancji magicznych do powszechnego użytku?

Przecież to już wszystko jedno – stwierdził Kova.

Specjalistka od krytycznych sytuacji pokręciła głową.

–Nie mamy prawa mieszać się do biegu tego świata, zmieniać toku wydarzeń na swój sposób. Powstała nowa sytuacja, a my musimy ją respektować i czekać, aż się wszystko uspokoi. A to będzie trwało stulecia. Minimum.

–Chcę dorwać ludzi, którzy przemycają magiczne substancje. Sytuacja i tak jest już wybuchowa, a każdy kolejny kilogram tych materiałów to jak dolewanie oliwy do ognia – odezwał się z kuchennych drzwi

–Wolfgang. – To dla pana jedyna szansa na ratunek. Inaczej przekażę pana miejscowej tajnej policji.

Kova milczał.

–A przy okazji – kontynuował Wolfgang. – Z jakiegoś powodu usiłuje się pan dostać do technoświata. Wiem, że ten łajdak Armitus obiecał pana tam przetransportować. Łże! Potrzebowałby do takiej akcji

wyposażenia najlepszych miejscowych laboratoriów, a do nich nigdy się nie dostanie. Ujmując to wprost, w technoświecie swoich brudnych interesów prowadzić pan nie będzie!

Kova poczuł, jak jego nadzieje runęły. Spojrzał w oczy Marilyn Morgan.

–Niech mu pan da tych przemytników. To pańska jedyna nadzieja, inaczej się nie dogadamy – rzekła spokojnie.

–Dobra, dostaniecie swoich przemytników – odparł w końcu -ale potrzebuję koordynat innego okna. Moje źródło zostało zniszczone.

Kosztowało go to kolejną godzinę negocjacji, lecz Wolfgang w końcu zgodził się dostarczyć dane.

–Jeśli nie dostanę tych ludzi, osobiście pana zabiję – obiecał na zakończenie.

Marilyn Morgan wychodziła jako ostatnia. Już w drzwiach zatrzymała się i odwróciła.

–To wszystko może się panu wydawać dzikie i pomieszane.

Rzeczywistość nie jest już tą samą opoką, do której był pan przyzwyczajony przez całe życie. Musi pan sobie uzmysłwić jedno – na swój świat musimy zasłużyć, musimy o niego walczyć, musimy ciężko pracować.

Patrzył na nią zmęczonym wzrokiem i nie odpowiadał. Ledwie został sam, zasnął. Na kanapie, w ubraniu, tak jak siedział. Problemy musiały poczekać do jutra.

Splata długu

Wczesnym rankiem obudził go telefon od Richtera.

–Zaginął Leuhek, powiedziałbym, że przepadł.

Chyba chodzi o jakieś sprawy osobiste.

Kova przytrzymał ramieniem słuchawkę przy

uchu i równocześnie szperał w lodówce w poszukiwaniu czegoś do picia. Miał ochotę na szklankę mleka, jednak cała lodówka była wypełniona butelkami wysokoprocentowych alkoholi, wśród których królowała wódka; resztę miejsca zajmowało kilka opakowań półproduktów spożywczych.

Firma miała własne poglądy co do wyposażenia spiżarni samotnego mężczyzny. W końcu zamknął lodówkę i zadowolił się szklanką wody.

–Taaa, to może być prawda. Powiedziałbym, że się już nie wynurzy.

–Trudno – powiedział Richter.

–Zrobimy jeszcze jeden, ostatni skok. Potem zatrzemy ślady i pryśniemy – rzekł spokojnie Kova.

–Świetnie – w głosie Richtera zabrzmiała nieskrywana ulga.

–Będę teraz przez dwa dni nieobecny, odezwę się po powrocie.

Kova rozłączył się.

Musiał zdobyć następne koordynaty, ale też pomówić z

Vermirowskim, by wypełnić drugą część umowy. Pieniądze stanowiły zaledwie pierwszą połowę należności za pozyskanie koordynat.

Usmażył sobie omlet na słońnie, zrzucił go na talerz i usiadł przy stole. Czasem

miął skłonność do jedzenia na stojąco, teraz jednak potrzebował czasu do namysłu. Po chwili wahania przyniósł telefon i wybrał numer Klary. Odezwała się automatyczna sekretarka.

–Co powiesz na spotkanie pojutrze wieczorem „U Siedmiu Karaluchów”? – wybrał lokal, gdzie oboje chętnie chodzili.

Przez chwilę rozmyślał, czy nie dodać czegoś więcej, ale w końcu odłożył słuchawkę. Zawsze był zwięzły, mogłaby zacząć coś podejrzywać. Tym telefonem załatwił tajną policję.

Zadzwoił jeszcze raz do Richtera i zapytał, czy nie zdobyłby dla niego kontaktu z człowiekiem należącym do gangu Garzocha, z którym spotykał się Leuhek.

Richter wzdragał się, ale Kova zwrócił mu uwagę, że byłoby to wskazane dla lepszego zabezpieczenia ostatniej akcji.

Gdy tylko się ubrał, ktoś zadzwonił do drzwi. Poszedł otworzyć z rewolwerem w ręce, zastanawiając się, czy kuloodporna płyta ochronna w drzwiach jest tak dobrej jakości, jak utrzymywała firma. Mimo to nie wyrztał przez wizjer, a gdy otwierał, przycisnął się plecami do ściany.

Na korytarzu stał mężczyzna, z którym spotkał się w nocy, człowiek Wolfganga. Bez słowa podał mu czarną teczkę z wytłoczonymi srebrnymi literami EF.

Kova pobieżnie sprawdził jej zawartość. W środku znajdowały się koordynaty okna do Palmowego Świata wraz z danymi czasowymi, których potrzebował. Nowoczesny druk dziwnie kontrastował z przedstawieniami znaków zodiaku i stylizowanymi wyobrażeniami gwiazdozbiorów. Niektóre gwiazdy były opatrzone wartościami liczbowymi, inne napisami po hebrajsku lub arabsku, nie potrafił tego rozróżnić.

–Niech mi pan pokwituje odbiór – zażądał mężczyzna, podając mu bloczek i długopis.

Jeśli ta agencja była prawdziwa, to musiała być diabelnie wielka, skoro formalności zaczynały się na takim poziomie. Albo chodziło o jakiś trik Wolfganga, tego Kova nie wiedział. Chwilę nasłuchiwał, zamknął drzwi i wrócił do pokoju.

Godzinę później jechał już do Czeskich Budziejowic. W lusterku zauważył czarną skodę, która się do niego przylepiła. Byłby nawet zaskoczony, gdyby nikogo mu nie powiesili na ogonie. Wcisnął gaz jak ktoś, kto lubi się rozkoszować mocą wozu, i chwycił mocniej kierownicę. Ciężka limuzyna trzymała się dziurawej drogi jak przyklejona, skoda szybko zniknęła z pola widzenia. Trzy kilometry przed miastem zбочzył na polną drogę. Zaparkował tatrę w ukryciu między drzewami, przebrał się i do miasta poszedł pieszo, przebrany za turystę, w szortach, koszuli w kratkę i czapeczce z daszkiem, na której widniał emblemat sępa, maskotki straży miejskiej.

Leniwie przechadzał się uliczkami, na rynku przystanął przy fontannie i z tajnej skrytki wyjął wiadomość, z której wynikało, gdzie ma się zobaczyć z kurierem.

Tym razem na miejsce spotkania wybrali „Piwiarnię u Szwejka”. Kova na wszelki wypadek wziął ze sobą plan miasta, wystarczyło do niego zajrzeć.

Jako turysta cieszący się leniwym letnim dniem wszedł do wybranego lokalu,

usiadł na ławce i zamówił małe piwo. Małe piwo oznaczało: „Wszystko w porządku, ale już koło mnie wężą”, duże piwo: „Żadnych problemów”, a szklanka wody: „Jestem spalony, wynoście się stąd”.

Niedługo trwało, jak do stołu podszedł starzec o lasce.

–Czy tu jest wolne?

Kova przytaknął i z zaskoczeniem rozpoznał w dziadku samego

Vermirowskiego. Weteran wielu walk wyglądał jak zawsze, tylko poruszał się w sposób właściwy dla człowieka w jego wieku -pewność i sprężystość zastąpiło starcze szuranie nogami.

Kova napił się piwa. Jedyne, co na pewno było w tym świecie takie samo, to piwo. Smakowało i gasiło pragnienie dokładnie tak, jak pamiętał.

–Zdaje się, że wokół pana zbierają się drapieżcy – zauważył Vermirowski.

–Gdyby tylko drapieżcy. Hieny i inne ścierwojady. Do

Palmowego Świata mogę się dostać jeszcze tylko raz, ostatni. Potem już nie będę miał szansy.

–Więc przyszedł pan po instrukcje, jak wypełnić ostatnią część naszej umowy – stwierdził Vermirowski. – Wodę mineralną Perrier – zamówił u kelnera.

–Powiedzmy, że domyślam się, czego będziecie ode mnie oczekiwali – odparł zamyślony Kova.

Przez okno widział, jak ulicą przejeżdża czarna skoda z przyciemnionymi szybami i znaną mu tablicą rejestracyjną. Tajni agenci krążyli wokół zdobyczy.

–Tak? – Vermirowski z zaciekawieniem uniósł brwi.

–Chce pan, żebym zdobył hyuakę – powiedział bez wykrętów Kova.

–Tak! – Stary mężczyzna z trudem się opanowywał. – Chcę przełamać monopol państwa, rozszerzyć produkcję na wszystkich ludzi, tych, którzy nie zgadzają się z dyktaturą elit państwowych. Chcę nauczyć ludzi, jak mają się bronić przed czarodziejami na usługach władz, inkwizytorami, parapsychicznymi zabójcami.

Kova spojrzał uważnie na starego żołnierza.

–Rozumiem. Dla mnie nie jest istotne, czy się z panem zgadzam, czy nie. Ważne, że to panu obiecałem.

Vermirowski rozluźnił się i opadł na krzesło.

–Tak, to słowo czyni mężczyznę. Jedna z niewielu rzeczy, na których można polegać. Wie pan, John, u siebie w domu może pan sobie tego nie uświadamiać, ale ja już to rozumiem. Przez ostatnie pół wieku tę prawdę uświadamiałem sobie każdego dnia, każdego przekłętego poranka, gdy się budziłem i patrzyłem, jak nasza rzeczywistość rozpada się, zastępowana zupełnie inną. Na swój świat musimy sobie zasłużyć. Myślę, że mamy teraz szansę, ostatnią szansę.

Kova aż zadrżał. Takie samo zdanie usłyszał z ust Marilyn Morgan wczoraj w nocy.

–Myślę, że i pan poważnie ryzykował, przekazując mi

koordynaty świata, w którym znajduje się hyuaka. I nie mówiąc mi, na czym to polega, tylko pozwalając zbierać jakieś orzechy – rzekł cicho. Stary żołnierz zaśmiał się.

–Więc wpadł pan na to. Mnóstwo ludzi myśli, że mleko kokosowe jest jakimś odległym bratankiem hyuaki, ale prawda nigdy nikomu nie przyszła do głowy.

–Dlaczego sam pan nie przywiózł tu tej substancji?

–Nie ma między nami ani jednego czarodzieja, który potrafiłby otworzyć okno.

Wszyscy zostali zabici. Przez dwadzieścia lat stopniowo dochodziliśmy do metody wyliczania koordynat, dalszych trzydzieści zajęło nam znalezienie kogoś wartego zaufania. A to było jeszcze trudniejsze. Aż wreszcie znalazłem pana, człowieka z innego świata, któremu łatwo oprzeć się pokusie pieniędzy, milionów, miliardów.

–Jeśli akcja się powiedzie i zdobędę hyuakę, co będzie później? – chciał wiedzieć Kova. – Będzie pan usiłował zawładnąć światem?

Stary mężczyzna zaśmiał się.

–Skądże. Opracowaliśmy metody hodowli substancji podobne do tych, jakich używają władze. Właściwie to ukradliśmy te metody i połączyliśmy z tym, czego nauczyliśmy się z tajnych dokumentów Hitlera. Już niedługo wojskowi czarodzieje nie będą stać tylko po jednej stronie.

Kova wyobraził sobie piekło, jakie starzec szykuje swojemu światu. Ale to był jego świat.

–No to gdzie znajdę hyuakę i jak ją panu później przekażę?

Tym razem przy płynęli tylko dwiema łodziami i z sześcioma ludźmi, ale to nie stanowiło problemu, mieli bowiem duże doświadczenie w zbiorze orzechów i nie wlekli już ze sobą działa.

Ani Kova, ani Jerzyk nie musieli nikogo gonić do roboty. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że to ostatnia sposobność do zdobycia królewskiego zarobku. Fale jak zwykle szumiały, papużki przefruwały z drzewa na drzewo.

Kova stał na straży i obserwował okolicę, za pasem miał dwa pistolety skałkowe. Przeczynał, że nawet w tym świecie już wkrótce nic nie będzie takie jak wcześniej.

–Pełno! – ogłosił Wrecki.

Bez słowa zaczęli dźwigać do łodzi kosze pełne orzechów.

Poziom wody podnosił się do najwyższego punktu i ułatwiał spychanie kanu, które już po chwili zakołysały się na falach. Jerzyk spoglądał na zielony raj za ich plecami, Kova obserwował ludzi. Wszyscy byli w łodziach, czekali tylko na nich dwóch.

Kova przeczynał, że to kiedyś nastąpi, a właśnie nadeszła dogodna chwila. Jerzyk go nie zawiódł.

–Kiedy cię przedtem pytałem, czy nie boisz się, że ci uciekniemy, zaprzeczyłeś – rzekł gangster i uśmiechnął się zadowolony.

–Bo ja jeden znam koordynaty – odparł spokojnie Kova.

–Ale już nie będzie więcej wypadów po orzechy, czyli koordynaty robią się nieważne. – Uśmiech Jerzyka coraz bardziej przypominał złośliwy grymas.

–Co przez to rozumiesz? – Kova udawał, że nie rozumie.

Jerzyk sięgnął po pistolet, napiął kurek i wymierzył w Kovaa.

–To znaczy, że cię już nie potrzebuję. Zostawię cię tu na wieczne wakacje.

Kova przybliżył się do niego bez pośpiechu, jakby nie widział wylotu lufy o średnicy cała.

–Nie dostaniesz mnie – zaśmiał się Jerzyk – i nie użyjesz sobie na tych wakacjach – wycedził przez zęby, pociągając za spust.

Iskra przeskoczyła, ale wystrzał nie nastąpił. W następnej chwili Kova uderzył współnika w twarz i drugi raz, w splot słoneczny. Jerzyk z trudem łapał oddech. Sięgnął natychmiast po drugi pistolet, ale i ten nie wystrzelił.

–To ja mieszałem proch. Czegoś nie dodałem, więc się nie pali -zdradził ze spokojem Kova i wyciągnął własną broń. – Od początku nie grałeś czysto. Armitus nie może mnie odstawić do domu, zgadaliście się przeciwko mnie.

–Biznes to biznes – odciął się Jerzyk. Rzucił Kovaowi w twarz garścią piasku i skoczył w fale.

Wystarczyły mu cztery ruchy, by odpłynąć dobre piętnaście metrów od brzegu. Kova wiedział, że to największa odległość, na jaką można trafić z tak prymitywnego pistoletu.

–Spadamy! Ten chłop zwariował! Zostawimy go tu, a jego udział rozdzielimy między was. Ruszajcie! – krzyknął Jerzyk, ledwie uchwycił burtę łodzi.

Mężczyźni przez chwilę gapili się niezdecydowanie na Kovaa, ale Jerzyk był z nimi na łodzi, a Kova na brzegu. W końcu pochyłili się i zaczęli wiosłować w kierunku miejsca, skąd Marzik mógł ich przerzucić z powrotem. Kova odwrócił się ku gajowi palmowemu. Myślał o tym, jaką minę zrobi Jerzyk, gdy się dowie, że z ładunku nie będzie miał złamanego halera. Ekspres Praga – Ostrawa obstawiony był ludźmi Vermirowskiego.

Zarzucił na plecy tłumok i ruszył ku wałowi, za którym jeszcze nigdy nie był. Tam, jak twierdził weteran, znajdowały się najstarsze palmy. Te, na których już nie rosły orzechy. Przeskoczył przez wał, czując się dziwnie spokojny i rozluźniony. Akcja była w toku, niczego nie mógł już wstrzymać ani niczego zmienić.

Wybrał ogromną, liczącą dobre czterdzieści metrów palmę, tak popękaną, że w szpary mógłby wsunąć dłoń. Klęknął i zaczął grzebać w ziemi. W tym celu zabrał ze sobą saperkę, ale ta szybko się złamała, więc musiał posługiwać się tasakiem i gołymi rękami. Pod cienką warstwą urodzajnej próchnicy znajdowała się piaszczysta gleba łatwiejsza do przekopywania. Gdy namacał pierwszy okrągły przedmiot, wiedział już, że Vermirowski nie kłamał, a on wybrał właściwe drzewo. Po godzinie pracy wykopał kilka kolejnych czaszek. Palma rosła na wielkim grobie zbiorowym, lub raczej na miejscu, gdzie zakopano mnóstwo odciętych głów. W końcu między

szczętkami pojawił się korzeń drzewa, z którego wyrastała czarna narośl o krótkiej szypułce. Kova odciął ją ostrożnie i schował czarny owoc do plecaka. Potem zasypał dziurę i przeszedł do następnego drzewa. Nie pojmował, w jaki sposób obłąkani naukowcy Hitlera wpadli na taki pomysł, i podczas pracy rozmyślał, czy aby obozy zagłady już od początku nie służyły jako źródło surowca do pozyskiwania hyuaki, czy jednak chodziło o czysty zbieg okoliczności.

Wreszcie plecak był pełny. Zamaskował ślady po dołach jak umiał najlepiej i wrócił do ujścia potoku.

Papuzki ostrzegły go, że już nie jest sam. Spokojnie zszedł w stronę wody.

Z gęstwiny wynurzyli się ludzie w kombinezonach maskujących, wszyscy uzbrojeni. Spostrzegł między nimi Wolfganga, Marilyn Morgan, Vegę oraz mężczyzn, którzy towarzyszyli Bertramowi.

Mimowolnie skupił uwagę na młodej kobiecie o doskonałym owalu twarzy, ciemnych oczach i wydatnych kościach policzkowych. Włosy miała krótkie jak sierpniowe ściernisko, wargi pełne, a rzęsy długie niczym łodyżki dzikiego maku.

–Gdzie się pan podziewał i gdzie są przemytnicy! – wrzasnęła wściekle Wolfgang.

Kova nie zareagował.

–To wszyscy? – zapytał. – Żadnych środków technicznych? Rezerwy?

–Ten świat pochodzi niemal z epoki kamiennej – odparła

Marilyn Morgan. – Diabelnie trudno utrzymać tu sprawność jakiegokolwiek bardziej skomplikowanego urządzenia. Ale coś niecoś przecież mamy. Vega uruchomił jednego UHL Zanim się rozleci, posłuży nam jakiś dzień.

Kova orientował się, że chodzi o model starego śmigłowca, który przed pięćdziesięciu laty służył w Wietnamie.

–Piekielnie ciężka robota – zgodził się Vega.

–Gdzie są, do cholery, przemytnicy! – biesił się Wolfgang. Kova spojrzał na słońce.

–W drodze! – odparł. Jakby na potwierdzenie tych słów, usłyszeli dźwięk silników.

Do

wybrzeża zbliżało się pięć łodzi motorowych, z brzegu widać było, że są obsadzone uzbrojonymi ludźmi.

–Powinni wylądować tutaj – oznajmił Kova.

Jego słowa odniosły niemal magiczny skutek. Mężczyźni zniknęli, na otwartej przestrzeni został tylko Wolfgang.

–Jakoś dużo tych ludzi, mówił pan, że jest was tylko kilku.

Pierwszy silnik zakaszłał i umilkł, za chwilę to samo stało się z

innymi. Przez szum fal przebijały się przekleństwa. Ludzie Garzocha wyciągnęli wiosła i płynęli do brzegu o własnych siłach. Plamy rdzy wyskakiwały na aerodynamicznie ukształtowanych kadłubach z niewiarygodną szybkością. W chwili gdy przybili do brzegu, łodzie już nabierały wody.

–Niesamowicie szybki rozpad, to rzeczywiście świat z epoki kamiennej! – Wolfgang zapomniał o wściekłości.

–Ukryjmy się – przypomniał mu Kova. – Ich karabiny mogą jeszcze działać. Siwowłosa mężczyzna posłuchał go.

Nagle rozległ się huk, u brzegu zmaterializował się szary niszczyciel. Lufy pięciu studwudziosiedmiomilimetrowych dział natychmiast obróciły się w stronę wyspy, nawet z dala widać było

ożywiony ruch na pokładzie.

–A to co znowu? – zapytał zdumiony Wolfgang.

–Chciał pan przemytników, to proszę. Kolejna banda, prywatna inicjatywa tajnej policji Republiki Czechosłowackiej – poinformował go Kova.

–Człowieku! Co ty?! – warknął wściekły Wolfgang, z trudem ścisząc głos. – Przecież wystrzelają nas jak kaczki! Mam wszystkiego piętnastu ludzi. Co więcej, nielegalna działalność państwowa należy do strefy zainteresowania innej agentury!

Za drzewa wyłonił się Vincent Vega, na ramieniu niósł zestaw do odpalania rakiet ziemia-powietrze.

–Jeśli przypadkiem dranie nie zechcą potopić się wystarczająco szybko, to im pomogę.

Pierwsi ludzie Garzocha już wysiedli z łodzi. Kova obserwował, jak wystraszeni przyglądają się niszczącym łodziom. Nagle jeden z nich zauważył, w jakim stanie jest jego broń. Postanowił na próbę wystrzelić, ale karabin eksplodował mu w rękach. Gość zwałił się na piasek z urwaną dłonią.

–Będziemy potrzebowali medyka – stwierdził sucho Kova.

–Panowie! – z ukrycia wynurzyła się ciemnooka piękność ostrzyżona na jeża. Kamizelka kuloodporna i karabin szturmowy w jej rękach dziwnie kontrastowały z umalowanymi ustami i polakierowanymi paznokciami. – Jesteście otoczeni. We własnym interesie nie powinniście używać broni.

Najszybszy, a równocześnie chyba najgłupszy z przemytników spróbował wycelować. Huknął strzał, facet runął z przestrzeloną głową. Marilyn Morgan zauważyła, w jaki sposób Kova patrzy na kobietę.

–Komtesa de Villefort – zdradziła jej nazwisko. – Lingwistka, ale nie żaden mól książkowy.

Kova obserwował, jak dziesięciu ludzi z agencji rozbraja i unieszkodliwia dwudziestu gangsterów Garzocha. Vega tymczasem studiował wyświetlacz kontrolny broni rakietowej.

–Mnóstwo w tym elektroniki. Mimo wszystkich pieczęci potwierdzających wykonaną konserwację i uroczych napomnień o właściwej eksploatacji sprzętu nie wytrzyma to dłużej jak godzinę. Więc raczej zrobię to teraz.

Nasadził sobie wyrzutnię na ramię i przeszedł obok zszokowanych gangsterów na brzeg.

–Co pan chce zrobić! – wykrzyknął z przestraszeniem Wolfgang.

Vega odwrócił się do niszczyciela, przyłożył oko do okularu urządzenia celowniczego i wystrzelił.

–Chcę im trochę przefasonować łajbę. – Spojrzał na Wolfganga.

–Ma pan coś przeciwko?

Rakieta najpierw wznosiła się powoli i dopiero w bezpiecznej odległości przełączyła silnik na pełną moc. Kova przyglądał się zafascynowany, jak ognista strzała pędzi w stronę okrętu. Uderzyła gdzieś w środek kadłuba, pod samą linią wody. Natychmiast zawyły syreny, marynarze zaczęli spuszczać na powierzchnię tratwy

ratunkowe.

–To powinno poprawić naszą sytuację. – Vega położył wyrzutnię na piasku. – Frank? Rusz się i biegnij na plażę. Musimy zademonstrować naszą przewagę – powiedział wyraźnie, a Kova dopiero teraz zauważył mikrofon przyklejony do jego krtani.

Spoza wału wyłonił się śmigłowiec i wolno przeleciał nad plażą. Kova dostrzegł ciężki kaem wystający z kabiny i z zaskoczeniem stwierdził, że siedzi za nim jego znajoma, Monika, którą ostatnio widział przy kamiennym murku krótko po tym, jak usiłowano ich zabić. Mógł się założyć, że maszynę pilotuje Frank, wielki Murzyn, który prowadził wówczas dostawczaka.

–Zniszczę pana! – sapnął Wolfgang do Kovaa i odwrócił się do swoich.

–Grac, Fenyn, skombinujcie jakieś prowizoryczne kajdanki. Kale, wezwij posiłki. Będziemy musieli ich spacyfikować. – Odwrócił się nerwowo ku tonącemu niszczycielowi.

–Okolo trzystu pięćdziesięciu ludzi – spokojnie dokończył za niego Vega. – No, może kilku się utopi.

Wolfgang postawił oczy w ślup.

Aż do wieczora panował na wybrzeżu straszny rozgardiasz, przechodzący niekiedy w totalny chaos. W pewnej chwili zaistniała realna groźba, że marynarze z niszczyciela rzucą się na ludzi z agencji z gołymi rękami, ale Vega porozmawiał z oficerem dowodzącym i mężczyzna w końcu ustąpił.

–Co się z nimi stanie? – zapytał Kova w nocy, przyglądając się jeńcom przy świetle ogniska. Rozglądał się za Klarą. Nie pozwoliłaby, żeby ominął ją taki wypad. Wyciągnęłaby z niego własne wielkie korzyści.

Siedział w towarzystwie Vegi, Marilyn Morgan, komtesy de Villefort, czarnoskórego Franka Kravitzza i Moniki Speek. Wydawało mu się, że od chwili, gdy widział tych ostatnich, upłynęły całe wieki.

–Większość przejdzie krótkotrwałe wymazanie pamięci.

Dyplomaci ustalą, jak dalece taka akcja jest niezgodna z prawidłami rządzącymi w ich świecie. Jeśli nosi znamiona przestępstwa, to przeciwko organizatorom akcji zebrane zostaną dowody, a potem przekazemy ich jurysdykcji miejscowej. Oczywiście z jakąś dobrze przemyślaną historyjką ukrywającą prawdę – odpowiedziała Morgan.

Wreszcie wypatrzył Klarę. Nawet teraz, w niewoli, gdy jej kariera legła w gruzach, nie straciła nic ze swej hardości. Szła z podniesioną głową, rozglądając się po okolicy, jakby znajomość terenu mogła w przyszłości okazać się użyteczna.

Spostrzegła go. Patrzyli na siebie o chwilę dłużej, niż to było potrzebne, ale żadne nie dało po sobie poznać, że się znają.

–Dałoby radę zrobić wyjątek dla tamtej kobiety? – zapytał, gdy ich minęła.

Cała czwórka popatrzyła na odchodzącą grupkę. Znajdowała się w niej tylko jedna kobieta.

–Znajoma? – rzucił Frank obojętnym tonem.

–Tak jakby – przytaknął Kova.

–Pewnie, że by dało – odpowiedział ogromny Murzyn i wstał. –

No, młodzieży, musimy iść. Mimo wszystkich zabezpieczeń nie czuję się w tym świecie zbyt dobrze. Zobaczymy się w bazie.

Kova podejrzewał, że Frank ma w ciele ukryte gadżety, które zapewniają mu wyjątkowe możliwości, podobne do mocy nowoczesnych urządzeń technicznych, ale nie zapytał o to.

Komtesa de Villefort w zamyśleniu spoglądała na odprowadzanych oficerów.

–Chyba przyszedł czas, żebym przedstawiła panu ofertę, której wtedy w Pradze nie zdążył pan rozważyć. Myślę, że wie pan już coś niecoś o agencji – powiedziała Monika Speek.

W tle trzaskał ogień.

–Wolfgang będzie przeciwny przyjęciu Johna. Wini go za śmierć Bertrama. Innym też się to nie spodoba – zauważył Vega.

Monika wzruszyła ramionami.

–Trudno. Nikt z nas nie ma do tego wiele entuzjazmu. Bertram zawsze był ryzykantem. Znał swoją robotę, ale raz mu nie wyszło. Ja i Frank jesteśmy werbownikami i będziemy obstawać przy swoim. Rozważymy to gdzie indziej i innym razem.

–Zachowujecie się, jakbym już przyjął tę ofertę – wtrącił Kova. – A może mnie się wasza robota wcale nie podoba?

Cała trójka popatrzyła na niego zaskoczona.

Agent John F. Kova

Kova czekał w restauracji na spotkanie z pozostałymi. Tutaj miał się dowiedzieć, czy został przyjęty do agencji. Po rozmowie z Moniką i Vegą poprosił o trzy dni do namysłu i w końcu odpowiedział – tak. Jednak ważniejsza niż ewentualna praca była dla niego obietnica powrotu do domu.

Pierwsza przyszła Monika w prostym letnim ubraniu, które przy słabym nawet powiewie wiatru uwydatniało doskonałą figurę. Po niej Marilyn Morgan. Sprawiała wrażenie mocniej zbudowanej i Kova nie mógł się zdecydować, która z nich jest piękniejsza. Obie ubrały się jak na urlop – podzwaniały długimi kolczykami, bransoletkami i ekscentrycznymi ozdobami na kostkach nóg. Wyglądem i zachowaniem zwracały uwagę otoczenia.

–Odreagować nie zaszkodzi – zaśmiały się, patrząc na siebie nawzajem.

Kova skontrolował wzrokiem wyświechtany plecak leżący pod stołem, pełen owoców wyhodowanych na ludzkich czaszkach. Nikt nie zwracał na niego uwagi.

Vega pojawił się w dżinsach i klasycznym czarnym trykocie podkreślającym muskulaturę. W lewym uchu huśtał się kolczyk z miniaturową złotą czaszką. Kova domyślał się, że chodzi o znak

jakiejś jednostki specjalnej, ale nie wiedział jakiej. Może nawet nie pochodziła z tego świata.

Wolfgang, jako najwyższy rangą członek agencji działającej w tym świecie, miał mu przedstawić ostateczny werdykt. Zjawił się z piętnastominutowym opóźnieniem. Nikomu to nie przeszkadzało. Vega dopijał właśnie drugie piwo, Monika z Marilyn zaczynały drugie martini. Kova zadowolili się wodą mineralną. Nie miał ochoty na zabawę przed powrotem do domu.

Wolfgang usiadł rozzłoszczony, rzucił na stół kopertę i wściekle zabębnił palcami o blat.

–Byłem przeciwny. Bez ogródek to panu mówię. Pan jest człowiekiem, który zawsze działa po swojemu, nie respektuje autorytetów i nie będzie lojalny wobec żadnej organizacji. Tylko wobec siebie, i może jeszcze wobec typków takich samych jak pan.

Kova milczał. Obserwował Wolfganga, rozbawione kobiety i cichego Vegę, również w szampańskim nastroju.

–W kopercie jest umowa. Po ukończeniu kursu podstawowego zostanie pan agentem. Dokładnie zaszereguje pana pański przełożony w Wydziale Zwalczenia Handlu Artefaktami. To wszystko, co chciałem panu powiedzieć w obecności świadków agencji. Żegnam.

To powiedziawszy, wstał i wykonał szorstki gest pożegnania. W chwilę później wyszły za nim obie kobiety, a Kova i Vega zostali sami, każdy ze swą szklanką. Kova przeczytał umowę i schował ją do kieszeni na piersi. Spojrzał na muskularnego bojownika.

–W tym świecie mam na koncie kilka milionów. Zanim przekażę je agencji, możemy wydać z tego parę tysięcy. W jakimś lepszym lokalu. Vega zrobił zamyśloną minę, a potem podniósł szklankę w toaście.

–Za twoje dni w agencji.

Gdy wychodzili, Kova napotkał spojrzenie starego mężczyzny siedzącego przy stoliku nieopodal i lekko się uśmiechnął. Podniszczony plecak czekał pod stolikiem.



**This file was created with BookDesigner program
bookdesigner@the-ebook.org
2010-10-28**

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/